



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 34 (124)

NIEDZIELA, 15 PAŹDZIERNIKA 1944 R.

CENA 15 LIRÓW

JÓZEF CZAPSKI

List otwarty do Jacques Maritain'a i do François Mauriac'a

Podajemy w obszernym skrócie tłumaczenie listu otwartego do dwóch spośród najwybitniejszych pisarzy francuskich — Red.

Rzym, 6 października 1944 r.

Miałem szczęście znać Was w okresie moich studiów paryskich. Podziwiałem Waszą prawość myślicieli, pisarzy, Waszą odwagę.

Dla mnie, cudzoziemcu, to nie był Maritain, to nie był Mauriac, to była Francja, to była tradycja rzetelności intelektualnej, atmosfera, którą się odczuwało u pisarzy francuskich od konserwatystów do rewolucjonistów (z wyjątkami naturalnie).

Cała opinia francuska została kiedyś doprowadzona do białej w obronie człowieka niesprawiedliwie zasądzonego*, boście sądzili słusznie, że chodźto wówczas o zasadę, złamanie której pociągnęłoby obniżenie poczucia moralnego Francji. Mielście wówczas Zolę i miłoście Peguy.

Za moich czasów, Panie Jacku, prowadził Pan rewizję całej filozofii, walczył Pan o filozofię i moralność katolicką, która była bardziej niż niepopularna wówczas w środowiskach intelektualnych Francji. A jednocześnie „kompromitował” się Pan podwójnie, pociągając ku swojej wierze... celników.

W tych właśnie czasach Benda mówił o „zdradzie klerków”. Halewy „o upadku wolności”, a Gide nas uczył, co znaczy „umysł nie uprzedzony”.

*) Słynny proces Dreyfusa.

A pótniej to Pan, Panie Mauriac bronił Basków mordowanych przez Frankistów, Żydów prześladowanych przez Frankistów, komunistów, miał odwagę napisania „Powrót z Z.S.R.R.” — Mogliśmy być „za” albo „przeciw” Waszym twierdzeniom, Waszym poglądom, ale byliście dla nas wzorem niezależności myślowej.

Warszawa upadła w warunkach, które nie mają precedensu. Mamy prawo oczekiwać od pisarzy, myślicieli francuskich, ta-

kich, jakimi ich zawsze znaliśmy — słowa w obronę ofiar, które były jednocześnie obroną honoru i sumienia chrześcijańskiego Europy.

Nic podobnego do nas jeszcze nie doszło. Ale coś się dzieje teraz:

W chwili Waszego powrotu do uwolnionej stolicy, nasza stolica powstała do walki przeciw gwałcicielom i upadła zamieniona w stos gruzów po 63 dniach walki.

Jest trudno mówić o Warszawie, bo to,

co się tam dzieje, przechodzi naszą wyobraźnię. Miałoby większe od przedwojenne- go Rzymu, większe niż Los Angeles, dwa razy większe od Lionu jest starcie z oblicza ziemi; Armia Krajowa i cała ludność bije się bez broni, bez żywności, nie poddając się, pomimo że od tygodni Warszawa pozbawiona jest wody, dziesiątkowana przez tyfus i szkarlatynę, broniąc z szaloną determinacją każdego domu, dając świadectwo przed światem swej woli niezal- czości.

Nasze kościoły, biblioteki, Uniwersytet Warszawski, pałace historyczne i tysiące domów, w których żyło 1,5 miliona ludzi, zostały zniszczone.

Ilość zabitych i rannych jest oceniana na 200.000.

Przez obóz w Pruszkowie przeszło do dnia 23 września 243.000 ludzi ewakuowa- nych siłą przez Niemców (ten obóz — ogromny plac bez najmniejszych urządzeń sanitarnych, z setkami trupów, z czczukami dokonywanymi w tym samym obozie).

Ci nieszczęśliwi — to były matki, żony, dzieci żołnierzy polskich, którzy walczyli w Warszawie i walczą na wszystkich fron- tach.

Coś wari są ci żołnierze, jeżeli dowódcy armii alianckich robia im rzeczy po- lecania im właśnie zadań najtrudniejszych, naj- bardziej odpowiedzialnych; to oni zdobyli Monte Cassino i Ankonę, to oni brali u-

(Dokończenie na str. 4.)

ROZKAZ PREZYDENTA RACZKIEWICZA

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych!

Po dwunastodziejnej z górą walce Warsza- wa padła. Żałoba kirem okryła nasze cho- rągwie i sztandary. Żałoba jest w ser- cach Waszych. Warszawa padła, ale trwa i trwać będzie walca Polskiego Narodu o niepodległość i suwerenne prawa Rzeczy- spolitej. Przez dziewięć tygodni walki w gruzach, płomieniach i krwi, stała się Warszawa dla całego świata symbolem Polski niezwalczonej, nieśmiertelnej. Dziś, gdy ta walca wygasta, tym większą jest odpowiedzialność Wasza, Żołnierze Pol- skich Sił Zbrojnych, walczący na lądach, morzach i w powietrzu, obok naszych sprzymierzonych. Wasz orgz zwycięski nie tylko bierze odwet za Warszawę, ale ot- wiera drogę do niej. Walca Wasza zbliża

moment, gdy ze zgłiszcz i gruzów d'wigne się nasza stolica, wielka swą ofiarą ciałopalmą i nieśmiertelną chwałą. Ufam, że dlonie Wasze nie omdleją, wola nie osłabnie a wiernością żołnierską okażecie się godni walczącego Kraju, jak okazali- ście się pod Cassino i Ankoną, pod Cham- bois, Arnhem i w tylu innych walkach, w działaniach morskich i w powietrzu nad Francją, Belgią, Holandią, Niemcami. Te- go oczekuje od Was Naród, którego jeste- ście nadzieją i umiłowaniem. Wierzę, że Bóg sprawiedliwy pobłogosławi Waszej służbie i naszej słusznej sprawie.

Racziewicz Władysław
Prezydent R. P.

1 października 1944 r.

ROZKAZ GEN. BORA

Walczymy o cele wzniosłe. O wyzwolenie Narodu Polskiego i wszystkich państw dzielących jego los, o przywrócenie ogólno- go porządku w wojennej Europie i ogólno- go bezpieczeństwa jej obywateli. O odrze- dzenie świata. Nic dany nam było tej walce dokończyć. Ulegliśmy przemocy, ale armio nasze na obczyźnie walczą do dziś. Walca o Polskę i wolność nie kofczy się tu w Warszawie. Kapitu- lacja stolicy nie świadczy, że zaprze- staliśmy walki z Niemcami. Polska, która walczyła z nimi przez pięć lat okupacji, dziś, po tak bolesnej stracie i w tak okropnej sytuacji politycz- nej w walce tej nie ustanie....

Nie mogliśmy na to pozwolić i byliśmy zmuszeni do kapitulacji. Stoimy w o- blizcu tej najgorszej dla żołnierzy chwili. Mamy się poddać. Już za kilka go- dzin bohaterowie powstańcy będą musieli złożyć broń. Wiem, że trudno i ciężko bę- dzie im to wykonać. Niejednemu z nich wo- lałoby stracić ręk lub nogę, niż ukochany kurabin, lecz na to już nie poradzić nie mo- gę. Przeżywam wraz z Wami, żołnierze, jed- ną z najcięższych chwil w życiu. I ja pragnę walki, ale widząc w drodze, którą o- brałem, najlepsze i najkorzystniejsze wyj- ście z sytuacji, zdusiłem w sobie to uczu- cie, że wulsielbyście poleć, niż doczekać tej chwili, ale na to pozwolić nie mogłem. Wiem, iż w walce nie ma już nic dla Was ciężkiego i dlatego musiałem Was urato- wać od zguby. Warszawa upadła. Serce Polski było przestawione. Tym bardziej w tej chwili nie miałem prawa powiększyć żalo- by Narodu, który i tak ma dość zmarłych. Walczeliście niezdolnie, jeden przeciw ty- siącom, a nie zalamaliście się. Nie zapamię- cie się w chwili tak dla nas smutnej i po- każcie światu, że Warszawa pomocy, ani współczucia od niego nie potrzebowała. Nie dano nam pomocy, walczeliście bez niej. Spędziliśmy swoje zadanie bez zarzutu i do końca. Teraz możemy odejść spokojni o swoje sumienie na krótki odpoczynek, gdyż pewien jestem, że krótki Niemiec, z

którymi walczymy nadal, są policone. Dziś jeszcze złożenie broni uważacie za zno- gazywanie i nie tracicie ducha. Taka jest moja prośba, wola i rozkaz.

Gen. dyw. Bór - Komorowski

PRZEMÓWIENIE POŻEGNALNE GEN. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO

Panowie oficerowie!

Przed tygodniem zostałem zwolniony ze stanowiska Naczelnego Wodza. W podob- nych wypadkach zwyczajem jest przekazy- wanie czynności służbowych swemu na- stępcy w obecności najbliższych współpra- cowników i podkomendnych.

Dla wiadomych powodów mogę temu zwyczajowi zadość uczynić jedynie w spo- sób symboliczny.

Myśl nasza biegnie w tej chwili ku oso- bie nowego Naczelnego Wodza, szlachetne- go człowieka, prawego żołnierza, nieugię- tego patriotę, który na czele resztek swych bohaterów oddałby poszedł do niewoli, po stoceciu dwumiesięcznych bojów o stolicę. Boje te historia przekaze pamięci pokoleń, jako najwspanialszy epos poświę- cenia, męstwa i hartu żołnierskiego.

W sercu głęboko mam wyryte słowa de- peszy, jaką otrzymałem od gen. Komoro- wskiego 30 września, doręczonej w kilka go- dzin po udzieleniu mi dymisji, lecz adre- sowanej do mnie jeszcze jako do Naczeln- ego Wodza. Słowa te pisane na baryka- dach Warszawy, w ostatnich dniach jej legendarnej walki, stanowią wspaniały wy- wiew myśli i uczuć żołnierskich. Każde z tych słów szlachetnych dźwięczy najwyż- szą nutą głębokiej troski o wartość i jed- ność sił zbrojnych, o losy instytucji Naczelnego Wodza. Depesza zawiera ogólną prawdę, mającą wartość: zaleceń i wsk- azówek na obecne trudne chwile, w któ- rych walczy siły Polskie i jej Sił Zbroj- nych.

Was, moi Panowie, proszę, abyście oddali swoją wydajną pracę, swoje szczere wy- stęki, swoją lojalność i to lojalność aktyw-

Ż O Ł N I E R Z E !

Powstanie w Warszawie po dwóch prze- szło miesiącach bohaterów walki zda- wione zostało przemocą wroga.

Wy, doświadczeni w boju żołnierze, któ-

na nowemu Naczelnemu Wodzowi oraz tym, którzy d'wigają przejęciową rzeczy- wistą odpowiedzialność za istnienie insty- tucji, za jej ciągłość i funkcjonowanie. Powstała sytuacja skomplikowana z chwi- łą, gdy stało się jasne, że nowo mianowany Naczelnym Wodzą funkcji swych, być może, aż do końca wojny z Niemcami sprawować nie będzie w stanie. Rozstrzygnięcie spra- wy tak żywotnej dla Sił Zbrojnych i mia- rodajnej dla rozwoju dalszych wypadków leży w rękach Pana Prezydenta, którego de- czyżli szczerzy żołnierze oczekiwali będą ze zrozumiałym napięciem. Ze swej strony ślemy Naczelnemu Wodzowi do miejsca, gdzie niewoli wyrazi miłości braterskiej, żołnierskiego oddania i przywiązania do jego osoby, wraz z łagodnymi do odgądnie- cia najgryzliwym życzeniami, które każde- mu z nas ciągnie się po prostu na usta.

A teraz pragnę podziękować wszystkim, z Szefem Sztabu na czele, za okazaną mi pomoc i współpracę. Jeśli w ciągu 15 mie- sięcy piastowania godności Naczelnego Wodza udało mi się dokonać czegoś po- zytynego dla Ojczyzny, dla Sił Zbroj- nych, jest to w znacznej mierze Waszą za- sługą.

Odechodząc mam jedynie żal do losu, że nie dany mi było doczekać się dnia po- łączenia całości Sił Zbrojnych na froncie bojowym.

Życzę wszystkim Panom powodzenia i najlepszych wyników w pracy, w dalszej służbie dla Polski.

Na zakończenie wyzywam Was do uczes- nia chwałą miłecznia poległych na polu chwały polskich żołnierzy oraz tych świe- czących mogi, które wyrosły wśród ruin i zgłiszcz naszej bohaterkiej stolicy.

ROZKAZ DOWÓDCY 2. KORPUSU

ry swymi zwycięstwami pod Cassino, Piedimonte i Ankoną zdobyliście uznanie świata, najlepiej potraficie zrozumi- eć, ocenić i odczuć bohaterstwo obrońców Warszawy. Wszak wiecie, ile wysiłku, tru- du i krwi kosztowały nas nasze boje, cho- ciaż walczymiśmy wspierani całą potęgą nowoczesnych środków walki, doskonale zaop- atrzeni i wyposażeni, ramię w ramię z korpusami wojsk sprzymierzonych.

A obrońcy Warszawy — głodni i niemal bezbroni w porównaniu z uzbrojonym po- zby wrogiem, wszczęli samotną walkę z przytaczającą przewagą.

W najcięższych warunkach: niedostatecz- nie zaopatrzeni w broń, amunicję, żywno- ść, pozbawieni środków koniecznych dla życia nowoczesnej walki, patrząc na głód, poniewierkę i nędzę, a często i śmierć najbliższych, kobiet i dzieci, na niszczenie swych domów rodzinnych — obrońcy War- szawy długo, wśród gruzów i pożogi uko- chanego miasta zwycięsko zmagali się z wrogiem.

Tragiczną była samotność obrońców Warszawy.

Bezcenna dla nas, tak obfitym strumie- niem przelana krew nie pójdzie jednak na marne!

Świat zrozumie, że na tak bezprzykładne czynny bohaterstwa może się zdobyć tylko ten, kto walczy o najwyższe ideały.

Dla tego Warszawa wstrząsnęła sumie- niem świata i walka jej stała się dla wszystkich walką nie tylko o honor i nie- podległość Polski, ale także walką o spra- wiedliwość i prawdziwą wolność świata.

Dla nas, walczących żołnierzy, walka Warszawy jest symbolem bohaterstwa, jest natchnieniem do dalszej wytrwałej, nieuc- łaganej i zwycięskiej walki o świętą sprawę wolności i całości Polski.

Dowódca 2. Korpusu

(—) ANDERS

gen. dyw.

MARTIN HUSKA

FEDERACJA - TO SŁOWACKI PROGRAM

Artykuł nadesłany z kół naszych słowackich przyjaciół.

Kto wglądnie w historię polityczną Słowaków, ten natrafił zaraz, bez głębszego badania, na przewodnią myśl tej historii: dążenie do politycznej federacji.

Jak czerwona linia, tak ta myśl ciągnie się przez dziesięciolecia narodowej polityki słowackiej.

Zapewne uderzy czytelnika wyrażenie „dziesięciolecie”. Należy jednak podkreślić, iż narodowa polityka słowacka jest młoda. Żyłot swój liczy na dziesięciolecie, a nie na stulecie. Nie przynosi jej to bynajmniej ujmę. Należy bowiem zwrócić uwagę, że wszystkie w b. Austrii żyjące narody — a między nimi i Słowacy — rozpoczęły tworzyć swą politykę narodową dopiero na początku XIX w. Aż do końca w. XVIII „narodem” na Węgrzech była jedynie mała warstwa obywateli: szlachta i ziemiaństwo. Szlachta i ziemiaństwo składały się z jednostek należących do narodu maziarskiego, rumuńskiego, niemieckiego i ruskiego. Ten „narod węgierski” miał swoje, prawami państwowymi zabezpieczone przywileje i wspólny język, łacinę. Pod tą zaś warstwą płynął głębok i szeroki prąd ruchów literackich i społecznych, ale nigdy politycznych.

Kiedy w r. 1784 cesarz i król Austro-Węgier, Józef II wydał nakaz, którym na miejsce marliwej łaciny wprowadzał na Węgrzech jako urzędowy język żywą niemiecką, szlachta i ziemiaństwo sprzeciwiły się tej reformie. W języku niemieckim jako urzędowym Węgier widziano zamach na dotychczasową tradycję obawiając się z równocześnie, iż przyniesie on z sobą utrwalenie wiedeńskiej centralizacji. Jakkolwiek wyższe warstwy szlachty węgierskiej uległy nieco później niemieckiemu, ziemiaństwo jednak i niższa szlachta oświadczają się za językiem maziarskim. Uchwały sejmu węgierskiego z roku 1790 i 1792 wszędzie w miejsce łaciny i niemieckiego wprowadzają język maziarski, co daje popęd i podstawę do tworzenia się własnej narodowej polityki maziarskiej. Powyższymi prawami do dzisiaj jeszcze jest robione zjednoczenie szlachty i ziemiaństwa.

Z wysokiej szlachty i ziemiaństwa słowackiego jedynie mniejszość przynależała do swojego słowackiego pochodzenia. Większa część oświadczają się za dzierżycym prym narodem maziarskim. Tak więc w miejsce rodowej szlachty i ziemiaństwa występuje na Słowacji do walki, pod słowackim sztandarem, szlachta ducha: kler, nauczycielstwo, profesoria i urzędnicy. Wszyscy pochodzący z ludu lub też z drobnego ziemiaństwa.

Oni to sformułowali pierwsze podstawy słowackiej polityki narodowej. Najpierw ustami pierwszego narodowego słowackiego posta Ludwika Sztúra (ur. 1815 zm. 1856) na węgierskim Sejmie w Bratysławie, potem zaś w burzliwych latach powstania słowackiego włączyli je do manifestacyjnego oświadczenia znanego pod nazwą: „Żądania narodu słowackiego”. Ta pierwsza wspólna deklaracja narodowej polityki słowackiej, uchwalona 10 maja 1848 w Liptowskim św. Mikulášu, skierowana była do cesarza i króla austro-węgierskiego, do Sejmu węgierskiego i „do wszystkich przyjaciół ludu i narodów”.

W deklaracji żądali Słowacy utworzenia wspólnego parlamentu węgierskiego, w którym każdy naród, jako naród, będzie miał swych własnych przedstawicieli. Prócz tego wspólnego pośredniego parlamentu każdy naród będzie miał swój własny narodowy i ustawodawczy sejm dla spraw ziem, które zamieszkuje.

Powyższe żądania są treścią całej deklaracji. Jest to, jak widzimy, czysta federacja.

Według niej Węgry miały stać się państwem federacyjnym, w którym żyją obok siebie Węgry, Słowacy, Chorwaci, Rumuni, Niemcy, Rusini, Serbowie — rządzący się wspólnymi prawami Węgier i prawami uchwalonymi na swych narodowych sejmach.

Polskiego czytelnika interesować będzie XIII punkt tej słowackiej deklaracji. Wykazuje on, iż już przy pierwszych przeciechach swej myśli politycznej Słowacy pamiętali o Polakach. Deklaracja ani słowem nie wspomina o Niemcach, Rumunach, Czechach, Ukraińcach, lecz znajdujemy dowód politycznego rozsądku i sercu i

wackiego, mającego na względzie Polaków. Cały ten punkt brzmi dosłownie:

„XIII. Wiedząc, że w sąsiednim kraju, Galicji, również pod berkiem Austrii się znajdującym, pobratymcy naród, Polacy, nie otrzymali jeszcze tej swobody, którą my się cieszymy — albowiem nieszczęśliwa biurokracja nie przestaje rzucać im na drodze przeszkód. —

„Żądamy by wszystkie narody pod koroną węgierską żyjące, prawą drogą podniosły silny, bratni, chrześcijański i ludzki głos, a u Jego Jasności, naszego króla i pana w Wiedniu nalegali, aby koniecznie temu nieszczęśliwemu narodowi była uczyniona sprawiedliwość i łaska”.

U podstaw już więc słowackiej polityki spotykamy się z jej wyraźnymi skłonnościami ku idei federacyjnej, a ponadto z dowodami słowackiego współczucia z losem polskiego narodu, sąsiadującego ze Słowacją.

W następnych latach polityka słowacka trzymała się zawsze zasad w powyższej deklaracji wyrażonych. Gdy zaś potem 6 i 7 czerwca 1861 Słowacy znowu politycznie wystąpili, żądali w swym memorandum od budapeszteńskiego Sejmu utworzenia „Autonomicznego Obszaru Słowackiego” z oddzielną administracją słowacką i urzędowym słowackim językiem.

Wobec budapeszteńskiego centralizmu siła słowacka była zbyt słaba, a co gorzej, była ona jeszcze ponadto rozbita. Część Słowaków przyjęła wytworzoną rzeczywistość wstępując do węgierskiej partii, inni znowu (w większości protestanci) kłótyli się smami „o białym cesarzu” — Ośwobodzicieli. Wierni pierwotnej federacyjnej linii pozostał jedynie słowacki pisarz Jan Palárik (ur. 1822 zm. 1870) autor poważnego studium o utworzeniu słowackiej federacji, w której każdy słowacki naród, a więc i Słowacy, ma swoje własne państwo. Wkrótce jednak pod wpływem politycznych warunków i pod naciskiem maziarskiej hierarchii — Jan Palárik był księdzem rzymsko-katolickim — uległ ten wyjątkowo utalentowany pisarz i przeszedł do obozu, który chciał współpracować z Węgrami i w ten sposób przynajmniej coś nie coś osiągnąć dla dobra Słowaków.

Bez najmniejszego związku ze słowacką polityką wystąpiła pod koniec XIX w. mała grupa słowackich działaczy, którzy zaczęli głosić ideę współpracy z Czechami, najpierw na polu kulturalnym, a potem gospodarczym i politycznym. Grupa ta nie znalazła poparcie w masach ludu słowackiego, który za przewódnicą miał kłóty katolików. Za znaczącą więc swie pierwotne hasła i tendencje przychylały się ona wkrótce do Słowackiego Stronnictwa Ludowego, którego wodzem był Andrzej Hlinka (ur. 1864 zm. 1938). Jeden zaś z przewódców tej dawniej czechofilskiej grupy (dr Paweł Blaho) był nawet wybrany jako Słowacki ludowiec do parlamentu budapeszteńskiego, gdzie pozostał pośtem aż do r. 1918.

Podczas wojny światowej 1914-1918 Słowacy zajęli w polityce stanowisko pasywne. Zawiesili oni nawet czynność wszystkich swych kulturalnych związków, a to w tym celu, by podczas wojny nie okazywać dowodów lojalności ani budapeszteńskiemu parlamentowi, ani też królowi i cesarzowi w Wiedniu.

Za Słowaków, którzy u siebie milczeli, zabrali głos Słowacy w Ameryce. Jest ich tam blisko milion, mają w swym rękę poważne organizacje i prasę. Należą podkreślić, że Słowacy amerykańscy nie w życiu organizacyjnym, ani też kulturalnym nigdy nie wstąpił z Czechami. Tym też mniej szli oni razem z nimi w polityce (W ostatnich wyborach prezydenta było tak, że Słowacy głosowali na Roosevelta a Czesi na Wilkya).

Kiedy po wybuchu wojny światowej (1914-1918) zaczęło mówić w Ameryce o przyszłym państwie Czechów i Słowaków, niektórzy dali się wciągnąć do tej akcji jedynie na podstawie umowy, którą zawarł Czechy, w Cleveland-Ohio, 25.X.1915. Głównie punkty tej umowy:

„Nacząz i u ziem czeskich i Słowacji”.
„Zjednoczenie czeskiego i słowackiego
DERACYJNYM zwią-

„Forma władzy: personalna unia na wzór państw demokratycznych, podobnie jak to jest w Anglii”.

Na podstawie tej umowy miały powstać dwa państwa: państwo słowackie i państwo czeskie, złączone personalną unią. Taką federacją odpowiadała podstawowej myśli słowackiej polityki, przyjętej w r. 1848 w Liptowskim św. Mikulášu. Dla tacy właśnie federacji z Czechami pracowali Słowacy amerykańscy, wydający na tę akcję ponad milion dolarów, podczas gdy tysiące legionistów słowackich z Ameryki poszło krwawie się o tę ideę na polach Francji.

Kiedy potem do Ameryki przyjechał T.G. Masaryk, Słowacy zażądali od niego, by podpisał umowę zawartą w Cleveland-Ohio 25.X.1915. T.G. Masaryk odrzucił propozycję zapowiadając jednocześnie, że napisze inną umowę. Wziął papier i własną ręką pisał:

„Słowacja będzie miała swą własną administrację, własny sejm i swoje własne sądy”.

„Język słowacki będzie językiem urzędowym w szkole, urzędzie i w życiu publicznym”.

Słowacy podpisali ten projekt Masaryka w Pittsburghu 30 maja 1918 r. To samo uczynił również i sam Masaryk, już jako prezydent Czecho-Słowacji. W ten sposób upadła umowa zawarta w Cleveland o państwie słowackim i o państwie czeskim, a została zastąpiona tą właśnie „umową pittsburską”, która zabezpieczała Słowacji autonomię prawodawczą.

Umowa pittsburska nosi w sobie pierwiastki federacyjne. Jasno mówi ona o słowackim sejmie i o Słowacji. Można więc powiedzieć, że duch jest w zgodzie z federacyjnym duchem deklaracji z r. 1848.

W październiku zatem 1918 r. na gruzach Austro-Węgier powstało nowe państwo: Czecho-Słowacja. W tym to nowym państwie miała być zrealizowana idea federacji, tak jak została ona ujęta w deklaracjach słowackich XIX w. i piórem Masaryka sformułowana w umowie pittsburskiej w r. 1918.

Wszystko poszło na opak. W nowym państwie uchwalona została konstytucja centralistyczna, którą praski parlament przyjął 29.II.1920. Była to zatem konstytucja przeciwfederacyjna.

Parlament w Pradze nie miał prawa w lutym 1920 r. uchwalania konstytucji, albowiem był to parlament, który nie wyszedł ani z woli ludu czeskiego, ani też z woli ludu słowackiego. Zasiadali w nim posłowie nie przez głosowanie ludu wybrani, ale przez polityczne partie czeskie mianowani i przez jednego Słowaka, dr. Warwiczę Szrobara samownie wyznaczonego. Jak Słowacja w tym parlamencie była reprezentowana, łatwo poznać chociażby z tego, iż z pomiędzy 40 mianowanych posłów słowackich, 30 było protestantów, a tylko 10 katolików, jakkolwiek protestanci stanowią jedynie 14 proc. całej ludności Słowacji. Ponadto w parlamencie praskim, kiedy tę konstytucję uchwalano, nie było ani jednego posła niemieckiego, chociaż w Czecho-Słowacji było Niemców 3 i pół miliona. Nie było tam ani jednego Węgra, podczas gdy w państwie czecho-słowackim liczba Węgrów dochodziła do miliona. Nie było ani jednego posła ruskiego, a Rusinów, obywateli czecho-słowackich było pół miliona. Nie zasiadali w nim ani jeden poseł Polak, a przecież Polaków było w Czecho-Słowacji około 180.000.

Słowem konstytucję, która miała się stać najwyższym prawem dla wszystkich obywateli Czecho-Słowacji, uchwalili w Sejmie praskim jedynie Czesi i czechofilskie słowackie protestanty. Tak jeden jak też i drudzy nie mieli na to mandatu od ludu, albowiem on ich do tego Sejmu nie wybierał. Słowacy posłowie katolicy głosowali wprawdzie również wszyscy za tą konstytucją, ale przedtem już, dnia 19 lutego 1920, ogłosili oni w praskim Sejmie deklarację, w której jasno oświadczali, iż przez swoje głosowanie „bynajmniej nie rozgryniają z żądań mających na celu samostanowienie Słowacji z prawodawczym sejmem”.

Tak więc parlament praski uchwaliał 29 lutego 1920 „jednogłośnie” konstytucję, po jej zaś uchwaleniu rozpisanu w kwietniu 1920 pierwsze wybory w Czecho-Słowacji.

W tym czasie jednak weszła już w życie nowa konstytucja, której początkowe słowa brzmiały: „My, naród czechosłowacki...” Tak wybory, jak i całe polityczne życie w Czecho-Słowacji musiało opierać się na przyjętej konstytucji, proklamującej „czechosłowacki naród”, czyli złączony z tym praski centralizm.

Wywagała się 20-letnia walka paragrafów z życiem. Po 20-letnich bohaterskich zapasach Słowacy zwyciężyli nad paragrafami. Parlament praski (sejm i senat) zmienił ten centralistyczny konstytucję po myśli słowackiego federatynowego programu i prawem konstytucyjnym, ogłoszonym dnia 23 listopada 1938 r. uchwalona została nowa konstytucja, na mocy której Słowacja uznana została za niezależną część składową Czecho-Słowacji, posiadającą własny słowacki parlament i władzę w Bratysławie, z Czechami zaś łączą ją jedynie wspólna głowa państwa, wspólne Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Spraw Wojsk i częściowo Ministerstwo Komunikacji.

Nie było to, wprawdzie całkowite zrealizowanie federacyjnego programu słowackiego, był to już jednak jego pierwszy etap, skąd można było rozpocząć drogę ku federacji wyższej i ku lepszemu zabezpieczeniu słowackiego bytu. Idea bowiem słowackiego federalizmu ma na uwadze to, iż Słowak i jego ziemia winny być bezpośrednio podmiotami prawa międzynarodowego. Tego nie dawała autonomia zagwarantowana nową konstytucją. Słowacy nie byli samodzielną jednostką polityczną wobec zagranicy. Tworzyli oni tylko składową część Czecho-Słowacji, podmiotem zatem prawa międzynarodowego była Republika Czecho-Słowacka, a nie sama Słowacja. Była to więc quia suwerenność, zrealizowanie quia federacyjnego programu.

Lecz i to nawet nie zadowalało pewnej części Czechów. Za pomocą swych generałów chcieli oni w marcu 1939 znieść wszystkie polityczne zdobycze słowackie, zagwarantowane prawem z dnia 28 listopada 1938 i poddać Słowację jeszcze w większą zależność od Pragi, aniżeli to miało miejsce dotychczas.

Na pucz czeskich generałów zareagował słowacki parlament w Bratysławie i dnia 14 marca 1939 ogłosił niezależność państwa Słowacji.

Tak, Słowacja stała się państwem niezależnym. Pojawiła się więc podstawa do tego, by stać się ona mogła częścią składową większej federacji, gdzie jej prawa będą szanowane i w której ona sama jako państwo i jej obywatel znajdzie najpewniejszą ochronę i bezpieczeństwo.

Gdy obecnie dużo się mówi o wielkiej federacji państw Międzyzemia, Słowacja wie, że idąc z największą radością. Małe federacje są nierzadkie, jak to widzieliśmy na przykładzie Czecho-Słowacji. Zawsze będą one dawały pobudkę silniejszym narodom, by szukać okazji do uszczuplenia praw, którym się cieszyć mają narody. W wielkiej zaś federacji każdy z narodów ma zagwarantowane swe prawa przez wszystkich. Każdy jest broniący centralną siłą całej federacji, stąd wykorzystywanie mniejszych narodów przez narody silniejsze jest wyłączone.

Dla tej to przyczyny idea federacji Międzyzemia ma w każdym narodzie wielką wartość swych zwolenników. Nieprzejrzał między narodami się skłócić. Trzeba będzie budować Europę nową, lepszą i silniejszą od starych, która podlegała silnie niebezpieczeństwu, że była by zorganizowana umowami z r. 1919. Słaba i wewnętrznie na wiele nieprzejrzała do siebie usposobionych narodów podzielona Europa nosi w sobie zarodek przyszłych wojen. Dość już dwóch światowych wojen, dość krwi przelanej o lepszy los Europy. Narody muszą znaleźć drogę ku sobie. W zjednoczeniu ich na podstawie federacyjnej tkwi siła, w rozbitciu jej słabość, którą może wykorzystywać wróg europejski czy pozaeuropejski, zadając Europie ostatnie i definitywne śmiertelne uderzenie, pod którym runie nie podnosząc się już więcej.

Słowacja jako państwo gotowa jest dla federacji narodów Międzyzemia wykonać wszystko, co będzie potrzebne. Federacja bowiem, to program słowacki. Realizacja tego programu pomnoży siły Słowacji zabezpieczając jej przyszłość w sprawiedliwej Europie.

BOHDAN ANDRYCZ

LISTY Z LONDYNU

Lubelska „kierieńszczyzna”

Londyn, 14 września 1944 r.

Po raz pierwszy w historii narodu państwo polskie w osobie Prezydenta i prawowitego rządu zmuszone jest do prowadzenia polityki z obcego terenu, w tak trudnych warunkach łączności z Krajem, wobec tak skomplikowanych możliwości kontrolowania swoich decyzji i posunięć w opinii publicznej. Zwiększa to niewątpliwie trudności decyzji, zwiększa to również odpowiedzialność rządu za te decyzje.

W chwili obecnej państwo polskie znalazło się w wyjątkowo trudnym położeniu. Czas, ten najbardziej zasadniczy czynnik historii, inaczej działa w stosunku do nas i do naszych sprzymierzeńców. Maszyna wojny całym swym ogromem nie tylko weszła na ziemię polską, lecz niszczy najżywniejsze nasze ośrodki polityczne, gospodarcze i kulturalne. Naród polski czuje się zagrożony w swym biologicznym istnieniu i nie dziwnego, że zarówno oficjalni przedstawiciele tego narodu, kierujący z ziemi obcej polityką państwa, jak też i liczne rzesze polskiej emigracji politycznej i wojska odczuwają dotkliwie nierównowagę oddziaływania czynników czasu w stosunku do poszczególnych partnerów koalicji. Coraz więcej tematów do rozważań, decyzji, wahań i zrygunków.

Sytuacja z punktu widzenia tej właśnie emigracji politycznej jest coraz bardziej skomplikowana, chwilami staje się rozpaczalna.

Na tym tle muszą w naszych myślach powstawać głębokie konflikty, a działania ludzi odpowiedzialnych za przyszłość narodu muszą być właśnie teraz poddawane krytyce, zastępującej w pewnym sensie te kontrole, którą by mógł stosować naród w stosunku do swych czynników oficjalnych w normalnych warunkach.

Historię dziejów Polski naszego okresu będzie miało trudne zadanie w analizowaniu linii polskiej polityki oficjalnej.

Przed wszystkim będzie on musiał stwierdzić, że mało w niej było elementów wynikających z własnej generalnej, na długi dystans obliczonej myśli politycznej. Że większość działań była to reakcje na cudze, przeważnie wrogie, bardzo rzadko przyjaźniące posunięcia. My, żołnierze, wiemy, że taktyka, która polega jedynie na liczeniu się z myślą manewru przeciwnika, czy nawet sąsiada, nie jest żadną taktyką, że nie daje ona owocnych wyników.

W takiej sytuacji politycznej jesteśmy i teraz, skoro właśnie rządy stanu przysięgnięty nam błąd zobowiązania w stosunku do sojuszników, bądź też, trągim sytuację, wynikającą z odwiecznego położenia geograficznego. W warunkach, w jakich jesteśmy teraz, tylko wielkie umysły na skale Zamojskiego, czy Piłsudskiego zakrojone zdają sobie sprawę z tego, gdzie kończy się program, a zaczyna się taktyka. Gdzie jest miejsce na kompromis, a gdzie trzeba ryzykować ze wszystkim dla zachowania tego, co jest istotą bytu narodu i państwa — ducha narodowego. Tylko geniusze narodowi potrafią w takich warunkach zdobyć się na bezwzględność politykę i taktykę zachowującą dla narodu nieskalaną linię posępowania nie przegrywając tego, czego historia nigdy nie jest w stanie narodowi zwrócić — idee i morale.

Znikoma część naszej emigracji politycznej czyniła i za politykę odpowiedzialną nie ma normalnych warunków do działania politycznego. Jest pozbawiona kontroli publicznej. Jest pozbawiona szerokiej dyskusji. Zdana jest na fałsz swych przyrodzonych umiejętności, intuicji i doświadczenia. A wiemy, że wszystkie te elementy zawiodą, jeżeli nie opierają się na podstawie myśli społecznej. I niczego więcej nie odczuwamy tutaj na obczyźnie, jak właśnie brak wielkiej polityki. Nic tak nas nie przeżęda jak fakt, że tracimy coraz bardziej w tych warunkach zdolność zdobywania się na długodystansową myśl polityczną, na realizowanie wielkiej racji stanu.

Podróż premiera do Moskwy musi stać się zdarzeniem politycznym największej wagi, dokola którego rozpęta się nie tylko dyskusja rzeczowa, lecz i zarwały namiętności. Fakt, że premier rozmawiał nie tylko z szefami rządu sowieckiego, lecz z przedstawicielami „Komitetu” poczytany jest za największy błąd taktyczny. Istotnie, nikt nie może mieć żadnych wątpliwości — a przede wszystkim nie mają pod tym względem wątpliwości Rosjanie — że „Komitet” ten jest zwyczaj-

ną agencją sowiecką, która dopóty będzie wykonywać złe funkcje, dopóki będzie to Rosji potrzebne. Personalizm „Komitetu” są bez wyjątku tego typu, że nikt, chociażby ubrojeny w najpotężniejszą lupę optymizmu czy... naiwności, nie może w nich dostrzec cienia samodzielnej polskiej myśli politycznej. Wśród członków „Komitetu” są nie tylko wykolejeńcy, historycy, lub skatolizowani ramole, są wśród nich również reakcyjniści, demagogi o prawdziwie faszystowskim zacięciu lub wręcz agenci NKWD. Towarzystwo istotnie nadzwyczajne. Sądzić należy, że nie było większych trudności w odcieciu się przy rozmowach moskiewskich od tego towarzystwa, skoro już w ogóle rozmowy moskiewskie uznano za niezbędne.

Wydaje się rzeczą bardziej niż pewną, że istnieje jedna tylko cena, którą można

nawet elementy narodowe, jeszcze tak niedawno nazywane faszystowskimi. W rozmowie swej miał Stalin powiedzieć, że komunizm tak pasuje do Niemców, jak siodło do krowy. Komentowane to jest, jako wyrzeczenie się dawnych rewolucyjnych, leninowskich haseł. Naiwni wiele sobie po tym obiecyują, dopatrują się w tym zarówno słabości rosyjskiej, jak też przedstawienia się Rosji na hasła par excellence nacjonalistyczne. Rosja stała się takim samym państwem jak każde inne, przeto i politykę z nią można prowadzić jak z każdym innym państwem — wołają entuzjaści.

Błąd kolosalny! Trzeba brać pod uwagę, że partia ma już za sobą olbrzymie doświadczenie. Permanentna rewolucja 1917 — 1922 propagowana w stosunku do Europy przez Lenina, Trockiego i Czerwona,

ministrowi rozpatrywany jako wystąpienie czynnika społecznie i politycznie postępowego w stosunku do faszystowskiej reakcji, za jaką uważany był ówczesny „centrolew”.

Dopiero zauważywszy to wszystko można z grubszą oceną obecną taktykę sowiecką w stosunku do „Komitetu” i Polski. Pościągająca obecną Kromla bynajmniej nie mają na celu jakiejś błąd konstrukcji politycznej. „Komitet” stał w tej formie, w jakiej jest obecnie, bądź rozszerzony przez fuzję z rządem londyńskim, nie ma bynajmniej odegrać roli czynnika stabilizującego sytuację w Polsce w kierunku demokracji i postępu w stosunku do politycznego i społecznego stanu przedwojennego. Wprost przeciwnie. W formie obecnej lub rozszerzonej przez taką fuzję, ma on być elementem prowokującym rewolucję i wojnę wewnętrzną.

Moskwa zdaje sobie sprawę doskonale z tego, że rewolucja w Polsce, której byłaby pozostawiona udzielić i całkowita integralność, byłaby niemożliwa. Po prostu byłaby bezprzedmiotowa. Rewolucja w stosunku do czego? Do kogo? Do rządów sanacyjnych? Nikt ich nie zamierza odzwierać. Do kapitalizmu? Tego w Polsce nie ma.

Polska pozostawiona sama sobie staje na drodze naprawdę demokratycznego, na interesach mas pracujących opartego ustroju społecznego, gospodarczego i politycznego. Lecz właśnie taki ustrój byłby gwarancją, jak najdalej idącej samobrony Polski i Polaków przeciwko sowietywacji. Przeciwno temu, co Rosja nazywa „rewolucją”. Trzeba więc te wszystkie zapędy zgrać, trzeba je skompromitować bezpowrotnie, kompromitując wraz z nimi całą przeszłość, pęd do zachowania ciągłości samodzielnego rozwoju i postępu społecznego i duchowego, trzeba skompromitować wszystkie przyrodzone dążenia do legitymizacji, wszystkie impendabilności. Trzeba skompromitować wszystko to, co byłoby tzw. rewolucją burżuazyjno-demokratyczną, co byłoby właściwie naturalną ewolucją w stosunku do stanu przedwojennego. Skompromitować przez doprowadzenie wszystkiego tego, co z taką rewolucją jej ewolucję jest związane, do absurdu, wywołać ją drogą niechęci, uczucie zawodu, wewnętrznych nienawiści i niesnasek, pogłębić szczeniawość klasową, rozpalic namiętności i wywołać pożądaną najbardziej radykalnych środków, bez względu na to, z czyją racją stanu byłaby one związane. Trzeba sztucznie stworzyć okres kierieńszczyzny, trzeba narzucić Polsce przemocą ustawionych „kierieńskich”, jeżeli nie pojawiają się własni Kierieńscy, ani własną kierieńszczyznę.

Komitet lubelski bądź w formie obecnej, bądź rozszerzony przez fuzję z emigracją polityczną, ma właśnie odegrać rolę takich potrzebnych Moskwie „kierieńskich” i „kierieńszczyzny”. I działalność rozwija się gwałtownie w tym kierunku. Ustawa następuje za ustawą, dekrety sypią się jak z rękawa. Zupnie jak u Szezerdina, którego jeden z bohaterów wzdycha: „Jakaż byłbym szczęśliwy, gdybym mógł odnieść — uszczęśliwić” naród chociażby jednym ukazem!”.

Podstawowym ukazem, którym ma „uszczęśliwić” naród polski, jest dekret z 18. IX. br. o reformie rolnej. Z dekretu tego Komitet jest specjalnie dumny. W przedmowie z 9. IX. br. p. Osóbka-Morawski stwierdza z dumą, że „rozwiązanie on te trudności, z którymi nie mogły sobie poradzić rządy sanacyjne, a to dzięki dojrzałości rolniczej ludzi, którzy wchodzą w skład Komitetu i Krajowej Rady Narodowej”. W istocie dekret, z którego jest tak dumny Komitet, jest zupełnie absurdalnym i utopijnym dokumentem, o charakterze na wskroś reakcyjnym. Dekret przewiduje stworzenie niemal kulackich gospodarstw i zakonserwowanie posiadłości poniżej 100 ha, na niektórych terenach — więcej. Wywołał to musi niezadowolenie mas bezrolnych i biedoty wiejskiej i ma prowadzić do tej tak pożądaną rewolucję wewnętrzną, która zaspokoiłaby być w stanie dopiero „dyktatura proletariatu”, wprowadzając w życie standardowy system sowiecki — kolektywizację. I nie dziwnego, że gdy Związek Patriotów w Moskwie chciał z góry wystąpić z projektem wprowadzenia w Polsce systemu kolektywów, został on surowo upomniany. Choćby — to pójnie.

Te wprowadzi już „Polska Partia Komunistyczna”, która obejmie władzę po zgraniu wszystkich prób „demokratycznych” i „burżuazyjnych” reform.

(Dokreślenie art. na str. 15)



Zamek Królewski w Warszawie widziany od strony Wisły

okupić ugodę z Rosją i dobre polsko-rosyjskie stosunki na najbliższą przyszłość. Tą ceną jest ostatecznie i bezpowrotne zerwanie ze strony polskiej z Europą. Rosja bez względu na swój kolor idzie niezmiennymi drogami rozszerzania obszaru eurazyskiego i nie zaniecha niczego, by coraz to nowe tereny włączać do Eurazji, jako totalnego organizmu.

W stosunku do każdego nowego partnera, dojrzałego do odegrania roli takiego królika, Moskwa powtarza historię Ukrainy, narodów bałtyckich i „prwilińskiego kraju”, a wiemy, że w historiach tych nie było miejsca na najbliższą bodaj autonomię, zwłaszcza, jeżeli chodzi o politykę zagraniczną i orientację na zachód. Bezlitośnie zwalczano „rewolucyjną kramolę”. „Jaciństwo” i wszystko to, co pachniało Paryżem, Rzymem, czy Londynem. Moskwa miała być nie tylko jedynym źródłem władzy, lecz również jedyną Męką dla ducha i myśli. Paruwiekowe doświadczenie wyrobiło w ludziach wschodu olbrzymi nawyk do tego rodzaju polityki, która staje się coraz bardziej uzbrojona, coraz bardziej sprytna i coraz bardziej niebezpieczna. W odróżnieniu od naszej polskiej polityki, tak lubującej się w anachronizmach, romantyce i abstrakcji — polityka ich jest przeraźliwie trzeźwa i bardzo współczesna.

Bezprzedmiotową jest dyskusja, czy Rosja idzie obecnie w świat z hasłami rewolucji, czy z hasłami państwa. To pewne, że jako państwo i jako rewolucja nie jest ona podobna do innych państw i do innych rewolucji. Będąc w gruncie rzeczy syntezą państwa i rewolucji opiera swe działania na bezwzględnej centralizacji i totalizacji. Program współczesnej Rosji, to sowietywacja wszystkich terenów tą czy inną drogą do Rosji przyłączonych. Pozostawiam przyszłym historykom akademickim dyskusję, czy w tej sowietywacji przeważają elementy państwa, czy rewolucji. Współczesnym, a zwłaszcza tym, którym ten proces zagraża, jest to zgola obojętne. Machina polityczna całkowicie zabija pierwiastki społeczne i czyni ze wszystkich problemów społecznych wyłącznie problemy polityczne.

Opinia świata wydaje się zdezorientowana tym, że Moskwa nie wysuwa obecnie hasła czysto rewolucyjnego, że kokiety elementy włóściarstwa, z natury rzeczy stanowiące element z punktu widzenia rewolucji proletariackiej — reakcyjny, a

jak też „rewolucja na bagnatach”, aranżowana przez Trockiego i Tuchaczewskiego, dały olbrzymi materiał doświadczenia. Stalin wyraźnie nie wierzy w potencję rewolucyjną proletariatu międzynarodowego.

Historia komunizmu w Niemczech jest niewątpliwie jednym z ważkich argumentów tej niewiary. Tylko to, co jest zdobyte i opalone przez siłę, rozszerza bazę rewolucji. I nie to, że ta rewolucja przestaje już od dawna nosić charakter uniwersalny i wszechludzki, a stała się przedmiotem ambicji wciąż tej samej grupy rewolucjonistów zawodowych — biurokratów rewolucji. Już Lenin uczył, że „komuniści nie powinni zaczynać walki z burżuazją łącząc się z drobnoburżuazyjnymi i socjalistycznymi ugrupowaniami” — że partie komunistyczne w okresie zdobywania władzy muszą być zorganizowane jak najbardziej odrybnie, w surowej izolacji, by nie osłabiać swego potencjału oportunistycznym i ideowym. Dążąc niewątpliwie do przeistoczenia obecnej światowej wojny imperialistycznej w wojnę rewolucyjną Moskwa nie wysuwa nigdy w Europie partii komunistycznych jako podstawowego narzędzia struktury pokojowej. Konserwowane one są na później, gdy „drobno-burżuazyjne socjalistyczne ugrupowania” zgrają się i zdyskwalifikują się w najtrudniejszym początkowym okresie rekonstrukcji pokojowej, gdy zbankrutują wszystkie ambicje stronnictw liberalnych i demokratycznych, osłabionych przez wojnę i wyjątkowości przez okupantów. Wówczas komuniści sięgną po dyktaturę proletariatu mając za sobą nie tylko olbrzymie doświadczenie WKP (b) — partii kierującej, lecz również i potężną siłę materialną państwa rosyjskiego.

Pozornie mętne oblicze obecnego „Komitetu” ma jednakże swój wyraz charakterystyczny. Brak w nim właśnie działaczy prawdziwie komunistycznych i socjalistycznych. Socjalistyczna tutejsza „Tribuna” z dn. 15.9.44. zupełnie słusznie podkreśla, że podło w nim elementów „notorycznie reakcyjnych, antysemickich i faszystowskich”. Trzeba również pamiętać, że z punktu widzenia sowieckiej doktryny i w języku sowieckim właśnie Polskie Stronictwo Ludowe uważane było jeszcze do dnia wczorajszego za najbardziej reakcyjną, kulacką i potencjalnie faszystowskie. Historycznie zaś bardzo pamiętać należy, że zamach majowy 1926 r. był przez ko-

LIST OTWARTY

(Dokończenie ze str. 1)

dział w najcięższych walkach pod Falaisce, w Arnhem; i zawsze z tą samą nie wyrozumowaną wiarą, że jest sprawiedliwość na świecie; i że krew przelana nigdzie nie jest krwią przelaną na darmo.

Skrót faktów. W październiku 1943 ruch podziemny w Polsce otrzymuje z Londynu rozkaz współdziałania z oddziałami sowieckimi. To współdziałanie zaczyna się od chwili wejścia armii rosyjskich na teren Polski. Powstanie w Warszawie jest jego logicznym skutkiem.

Oddziały sowieckie wchodziły do Pragi, radio moskiewskie 30 lipca zabrało apel do ludności warszawskiej, z którego cytują kilka zdań:

„Cała ludność miasta musi się zgromadzić wokół Armii Krajowej. Obywatele Warszawy do broni! Atakujcie Niemców i uwalniajcie wojskom sowieckim przejście przez Wisłę. Jeden milion mieszkańców — to jest armia milionowa, która walczy o wolność Polski!”

Jednocześnie władze niemieckie nakazują ewakuację całkowitą ludności miasta. Zagrożona eksterminacją przez Niemców, przynaglana przez radio sowieckie Warszawa powstaje.

Warszawa jest głównym węzłem komunikacyjnym na całym froncie wschodnim. Powstanie blokuje sieć komunikacyjną, wywołuje plan naczelnego dowódcy niemieckiego, wiąże na tym odcinku duże siły.

Taktyka sowiecka:

Główne dowództwo sowieckie odmawia jakiegokolwiek pomocy Warszawie, stawia przeszkody akcji pomocy podjętej przez aliantów, odmawia swoich bas lotniczych i utrzymuje to odmowną w ciągu 49 dni decydujących dla losu Warszawy, gdy ta pomoc może być jeszcze skuteczna. Ostatecznie decyduje się na „gest wspaniałomyślny”, na zrzucone spóźnione i niedostateczne broni i żywności, wtedy, kiedy już jest widoczne, że jest za późno by uratować Warszawę.

Jedyny powód upadku Warszawy — to całkowity brak pomocy podczas pierwszego okresu ze strony tych, którzy mogli i powinni byli pomocy tej udzielić. Jedyna próba pomocy w większych rozmiarach została dokonana 19 września przez lotnictwo amerykańskie, przez 400 latających fortec. Ale pomimo że 80 proc. zrzuconego materiału trafiło do rąk Polaków, chodziło tu o żywność, którą mogła wystarczyć za ledwie na dwa dni. Pomoc dostarczona bez opóźnienia przez Sowietów podczas pierwszego okresu powstania pociągnęłaby zapewne za sobą uwolnienie Warszawy ratując stolicę od całkowitego zniszczenia, oszczędzając mieszkającym straszliwych cierpień i śmierci.

Karmiona przez optymistyczne komunikaty radiowe aliantów wiadomościami o ogromnych bombardowaniach Niemiec, ludność nie przeistacza wierzę w nadejście wielkiej pomocy i czeka na tę pomoc, tak jak powstali w 1863 roku czekali na pomoc Napoleona III, a nawet na przybycie Garibaldiego z jego armią na talu-nek.

Trzeba znać te kościoty historyczne, dla nas drogie od dzieciństwa, te kawalerie, w których spędzaliśmy wolne godziny, dziś zamienione w fortece, oddawane, to zdobywane przez nas i przez Niemców, żeby sobie choć częściowo wyobrazić, czym były walki w naszej stolicy.

A jaka była moralna pomoc, którą alianty przyniesli obrocom Warszawy?

Warszawianie dowiadują się przez radio o zwycięstwach aliantów na wszystkich frontach Zachodu, słuchają również mowy Churchill'a, który nalegał na oddanie Rosji naszych ziem wschodnich.

„Czyż za tak długie i krwawe męczarnie mamy utracić pół Polski?” — woła radio warszawskie. „Warszawa walczy o prawa, o wolność nie tylko swoją, ale całej Polski. Warszawa słucha głosów dalekiego Zachodu”. Jednym z takich głosów była — mowa Churchill'a... Czyż nie jest zrozumiałe rozgoryczenie Warszawy: „Tak wiele dał nam siebie; a tak mało pomogliśmy sprawie polskiej”.

Po wycofaniu się Rosjan na nowo zajmują Pragę w drugiej połowie września. W Warszawie po pierwszym wybuchu nadziei bliskiej pomocy przychodzą wiadomości o deportacjach, dochodzą wieści pewne o wywożeniu ludności na Syberię. Wybuch oburzenia, żal do wszystkich aliantów.

A więc dlatego się bili? A więc dlatego zniszczona została stolica?

Jest bardzo możliwe, że mieszkańcy Warszawy nie orientują się dostatecznie, jakie trudności trzeba przezwyciężyć, by zorganizować pomoc realną od aliantów. Niemniej jednak rozdzielający krzyk rozpacz morderwanego miasta musi świat usłyszeć. Ta ludność pamięta, że straciłszy podczas walk powietrznych w Londynie 40 proc. stanu naszego lotnictwa, które brało udział w obronie, że Polacy się bili na wszystkich frontach.

Krwawe wołanie Warszawy nie dochodzi do Was, bo jest autentyczne. O, gdyby ono było zredagowane w biurach propagandy, przy wygodnych biurkach w Moskwie, Berlinie, Londynie, czy Waszyngtonie, wtedy słyszełbyście je poprzez wszystkie radia, pisałyby o nich wszystkie pisma. Ale te krwawie zdania, często niesłuszne, te wołania sprzeczne gorczy i czułości, wysyłane z miasta w ogień, nie dochodzą do Was.

Komunikat z 2. X. o 7 wieczór mówi: „Wiedzieć, że już setki tysięcy Polaków zginęło przez Was. Musicie dać nam pomoc natychmiast. Giniemy... Nazwano nas „mądrzymi walczącymi narodami”? Za co? czy za rzekę przez nas wylaną krew? Czy za to, że jesteśmy narodem, który chce żyć i oddychać wolnym powietrzem? Mamy przed sobą już tylko jedną drogę: w zaświaty; zwróćcie uwagę, że apeliuję do Was nie ludzie, lecz raczej duchy jutrzejszych trupów... Zaginęli w nas wiara w człowieka; w jego uczucie, lojalność. Na dzień dzisiejszy spożywamy śmiertelną żal do tych, którzy nas i nasz naród niszczyli”. I po tych zdaniach pełnych krwawej gorczy inne, prawie że czułe: „My wiemy, że nie zrozumiecie nas źle, gdyż my, oszukiwani tak długo a teraz oszukani najbardziej, jeszcze wierzymy”.

Widzę już ludzi „współczesnych” i seep-tyków, uśmiechających się z dobroduszną wyższością: „Cóż za naród romantyków, jakie narzania przestarzałe o wolności ludów, sprawiedliwości”. Ale wiem, że żaden z Was nie będzie miał ochoty się uśmiechać.

Cytuję kilka ustępów z apelu do Między-narodowego Czerwonego Krzyża z 3. X: „Jeszcze nieszczęsna i niezdobyta Warszawa walczy! Wiemy, że Anglia nie już

zrobić nie może... W Warszawie została garstka wychieczonych do ostatniego stopnia żołnierzy. Umracają z głodu starcy, dzieci i matki z niemowlętami. Wczoraj ogłoszono rozkaz Rokossowskiego, nakazujący ewakuację ludności Warszawy (Pragi). Mężczyźni od lat 14 do 60, kobiety do 50 idą na Sybir, żołnierze Armii Krajowej przeznaczeni do najcięższych robót, bohaterowie ginącej Warszawy. Gdzie ludzka doskonalność i lojalność? Żądamy od Was pomocy. Ta pomoc musi przyjsie natychmiast. Już Słyszycie: natychmiast pomoc dla ginącej Warszawy. Nie ma czasu na zwłokę. Wam tylko wierzymy. Tylko Wam ufamy. Żołnierze niepodległości i konstytucji. Wyście zrobili wszystko, co do Was należało. Uratowaliście honor ginącej, zbroczony we krwi, stolicy... Przyjęła Was Warszawa jak matka, ukryła w swoich podziemiach, gdy bomby niemieckie starały się Wasze zwłoki wykryć, przysypywać je gruzami swych domów. Wychowała Was cała ziemia polska, której Warszawa jest częścią, a Wy tej części nie oddaliście bez boju. Cześć Wam za to i chwala. Dziś rozpoczynamy tak długą drogę w nieznane. Musimy; choć z bólem serca pożegnać ukochane grunty i zwalka, te kamienie i gazy, które do dziś zdają się grozić okupantom. Wiemy; i znamy pełne prawo przemawiania do wszystkich Polaków. Korzystamy też z niego i życzeniem naszym jest, aby każdy Polak znał słowa konającej Warszawy.

„Wiemy, iż godziny panowania Niemców są polizone, Naród polski był, jest i będzie. Oszuści, mimo swego barbarzyństwa, nie potrafią wymordować trzydziestu kilku milionów bohaterów ludu polskiego”.

Komunikat z tego samego dnia przynosi nam ostatni rozkaz generała Bora: „Wal-

czyliście o cele wniosło, o wyzwolenie narodu polskiego i wszystkich państw, dzielących jego losy, o przywrócenie ogólnego porządku w powojennej Europie i ogólnego bezpieczeństwa jej obywateli. O odrozdzenie świata. Nie dany nam było tej walki dokończyć. Ulegliśmy przemocy, ale armie nasze na obczyźnie walczyły do dziś, Walka o Polskę i wolność nie kończy się tu w Warszawie. Kapitulacja stolicy nie świadczy, że zaprzestaliśmy walki z Niemcami. Polska, która walczyła przez 5 lat okupacji z nimi, dziś, po tak bolesnej stracie i w tak okropnej sytuacji politycznej w walce tej nie ustanie...”

„Nie dano nam pomocy. Walczyliśmy bez niej. Spełniliśmy swoje zadanie, bez zarzutu i do końca... Jestem pewny, że goziny Niemiec, z którymi walczyliśmy nadal, są polizone. Generali dywizji Bór — Komorowski”.

A więc koniec walki, która trwała 63 dni. Kapitulacja.

Równoległe z walką prowadzoną w Warszawie widzimy gorączkową działalność na całym świecie, inającą na celu skazowanie polskich sił walczących. Po namyślnych atakach przeciwko naszemu Wodzowi Naczelnemu gen. Sosnkowskiemu, mamy teraz nową kampanię przeciwko generałowi Bór — Komorowskiemu. Telegramy z Moskwy nazywają zbrodniarzami tych, którzy są odpowiedzialni za powstanie Warszawy, powstanie, do którego właśnie zaczęły we wszystkich sił, którego się domagały.

30 - milionowy naród, skazany na zniszczenie biologiczne przez dwa państwa totalitarne 80 i 180 - milionowe, kraj, który pierwszy powiedział „nie” Hitlerowi, ze stolicą zamienioną w gruz, nie może nawet dojść do głosu. Zakneblowano mu krwawe usta i mówią nam, że to jest konieczne w imię wspólnej sprawy. Ale jaka jest ta wspólna sprawa? Jeżeli pogrzebano Kartę Atlantyczną, jeżeli się zamierza zrobić z połowy Polski prezent Rosji obliczając nam rekompensatę na zachodzie, jakby ojczyzna była szafą, którą się przynosi z miejsca na miejsce.

Naród polski ze wzruszeniem przechowa na zawsze wspomnienie i wdzięczność dla lotników brytyjskich, poludniowo - afrykańskich, australijskich, amerykańskich, którzy polegli w próbach niesienia pomocy stolicy Polski.

Dowiadujemy się dzisiaj, że Churchill złożył hołd w Izbie Gmin obrocom Warszawy. Wdzięczny nam jesteśmy za piękne słowa, podjęzione przez prasę „Warszawa przeżyła cierpienia, które przewyższają wszystkie cierpienia tej wojny”. Te piękne słowa nie zbawiają wszakże Warszawy. Nie towarzyszyły tym słowom nic, co by świadczyło o rozumieniu istoty celu, o który walczyła Warszawa: o całość i niepodległość Rzeczypospolitej.

Rozumiemy, że politycy mają swoje kombinacje, wielkie i małe, że oni nieraz ulegają względom taktycznym. Toteż nie do nich się zwracamy.

Ale są myśliciele, pisarze, których rolę zawsze było mówienie prawdy. To oni mówili „obwiniam”, to oni „nie mogli milczeć”, to oni byli „ponad zamęt”. Wtem dobrze, gdzie się znajdują ci, którzy pozostali w Niemczech, w Rosji, czy w Polsce. Jeżeli tacy jeszcze istnieją, jeżeli nie zostali wszyscy wymordowani, to są w każdym razie skazani na milczenie, w katowicach, w obozach od Holandii do Pacyfiku. Ale gdzie są wielcy pisarze angielscy, amerykańscy, dlaczego oni milczą? Rozumieć, że w tragedii polskiej jest mało materiału dla dowcipnych paradoksów Bernarda Shaw, ale gdzie jest subtelny, szlachetny Aldous Huxley, gdzie jest Sinclair Lewis, Dreiser?

Zupełnie milczenie wielkich pisarzy. Czyżby i oni byli zmuszeni do milczenia przez cenzurę?

Może nigdy jeszcze brak Francji, ta luka, którą stworzyła jej porażka w 1940 nie wydawała się nam tak jasna i tak bolesna. Do Was, którzy wracacie do swojej ojczyzny, ranionej ale uwolnionej, do Waszej stolicy wspaniałej, nie naruszanej, do Was to należą odrodzić sumienia świata, prowadzić dalej tradycję, która jest Waszą: nie utraconie od wyschnięcia, ale podwójnego nurtu Waszej tradycji chrześcijańskiej i rewolucyjnej, jeżeli nie wystąpiacie jednocześnie w obronie narodów, które są wiele-niem tej samej istoty kultury.

Sprawa Polski i sprawa narodów europejskich ujarzmionych jak ona — to sprawa moralna, to sprawa sumienia świata.

Jeżeli dla gry, krótkowzrocznej polityki czy taktyki Francja, tak jak inne wielkie narody, zlekceważy ich los, przestanie ona być w oczach świata tym czym była, spadkobierczynią i wydziedziczką wspólnej tradycji, obrończą uniwersalnych idei. Wasmym milczeniem będziemy współdziałali w zniszczeniu — może na zawsze — tak drogiego, dla was i dla nas autorytetu moralnego i intelektualnego Francji na świecie.

Józef Czapki

JÓZEF ŻYWINA

EPILOG

Swieciły się kinkiety, świeciły, a teraz zostałyśami samy.

Czy wierzymy ci, Konradzie?

i na księżycowych strunach — wierzymy, gramy

pieśni o źródłach i puenatów ponad siły rzeczywistych.

Za kulisami przeszedł tragiczny korowód i cienie uszmiłkowanych statystów.

Konradzie, pomylił się statysta myśląc, że nadół jesteś w celi. Tam jest teraz pusto. Ciemno - mgliści tylko szumią skrzypiący anieli.

Błąd zakonnik znowu nie zrozumie,

że imię nasze nie jest „czterdzieści i cztery”,

że nie jesteś sam, Konradzie. W tunie

plynącym jesteśmy, ty, ja, i Maryla Putkammer.

Spójrz, nieugięci jesteście i tłumni.

Paryż. Skwana. Sennie na bulwarach i wmodlona cisza kolyse się w firankach. Pod Lukim Triumfalnym nieśmiertelny wiarus jeszcze raz przeszedł się szpalcerem Marsylanki.

Gdzieś na przedmieściu, w paryskim zaułku, w pokoju emigranta krzyż ułaskich lanc. Popatr. Adamie, za oknem maszerują polki: Vive la liberte! Vive la France!

A na przedmieściu warszawskiej jesieni Szopen wywala muzykę nokturnów; aż oto Kordian porwał się i przeniósł pożar z Solca na Żolibórz.

Czy cię to nie wzrusza, czy cię to nie lęka Europo zarumiała, Europo chmurna?

I to jest ostatni akt dramatu

i to jest już epilog.

Kinkiety jeszcze raz oślepią światłem demagogów, arcy politycznych zbirów i szachrajstwa w salonowym stylu.

Nieprawdą będzie ta cała historia, którą kazele potem w podręcznikach pisać! Nie uwierzymy już fanatamagorizm rzeźbionym w spłiwych rysach, ukłdom, rutyfikacjom i zapewnieniom plynącym z waszych wiełogłowych inów!

Tak... ście wspaniale sztukę! My gramy następny bez słów, bez słów!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

BARBAKAN WARSZAWSKI

*Słowie imienia Stefana Starzyńskiego,
budowniczego i obrońcy Warszawy,
bohatera wojny z Niemcami.*

Jeśliście mnie zbudzili, wydarli spod cęgi,
I z tych krążanków patrzeć przed siebie kazali,
Rozsuńcie jeszcze ściany, chcę bardziej rozległy
Ogarnąć z baszty widoki; za mury i dalej
Z brzegów stromych spozierać; za wiślane łęgi,
Za lasy i piaszczyska, w równinę szeroką,
Lecieć tędy jak ongi strażujące oko
Leciało z górnych blanków, i po widnokręgi
Opasać co jest moje...

Wiało stąd Mazowszem,
Szumiały tuście pszczoły i olszyste drzewa,
Na polanach trawistych wiatr trząsł głuchym owsem,
Pienił się stokłosy i szorstka kostrzewa,
A zimą między sosny, w ośnieżoną zieleń
Wchodził, cicho stąpając, czarodziejski jeleni
I z rogów złotych ogniem wylgłym świecił.
Pamiętam tę urodę. Cicho biegnę rzeki,
Dziś jeszcze senna fala na tym brzegu płuszcze;
Lecz w korzeniach drżał pomruk, szedł gówor daleki,
Piorun w dęby uderzał, paliły się puszcze:
Łuny stały na czatach. Wiatr pożary niecił.

Poszedł wtedy rozciągać mieczem wiek po wieku
Kto spać w tym kraju kładł się z otwartą powieką:
Chrobrzy mierzył Południe, Północ — Krzywousty,
Na podzwonne, na smutny pogrzeb Jagiellonów
Batory z dala bił kazał do cerkiewnych dzwonów —
A naród gnał już, jechał saniami w zapusty
I na równinie tłumnym zgierał kuligiem,
Konie rwały po śniegu ognistym wyścigiem,
Smola w pędzie płonęła i z biczoł trzaskali!
Aż wiatr pogasił światła, na głowni siadł pustej
I wszystkie drogi przysuł zawieją.

Co dalej?

Rozsuńcie jeszcze ściany. Patrzeć mi kazali.

I oczy wytęczałem czerwone. Lecz błądził.
I przepatrzyć tę ciemność pragnąłem. Daremnie!
Zorwały się kamienie nad sercem, upadły,
Gruz pękał na forticy i sywał się w mnie,
Trzeszczały krokwie stare, rozpęzło się próchno,
Słyszałem jak most runął, strzelnice jak głuchą,
Jak miecz rycerze łamią, odchodzą beznadziejni.
...Puhać usiadł na dachu i błyskał z czatowni.

Lepiej być niżeli, skryć się, zapaść na dnie,
Ruiny zgruhotane roztrącić bezładnie,
Zakopać się w piwnicach, w duchocie, pod ziemią,
Mchem się powlec i żywcem zamurować w mury:
Baszty w ścianach zastęły kominem do góry,
Na spodzie puste fosy, długie trumny, drzemają.

Tu w dole nie nie słyszał; czasem tupot nagły
Po ulicach przeleci, odbije się głucho,
To pewnie lud powstaje, ma nóż za pazuchą
I dąga nim zdrajców. Słyszysz? — tłumy ich dopadły
I Kossakowskich w nocy łbem po bruku wioła.
To stąpa zemska.

—Słysz, oddycham głęboko.

Aż odszedł król ostatni.

Nad kopcem mych gruzów
Sępy leciały krzycząc, że miasto wyjdzie,
I ciągnęły za wojskiem cesarza Francuzów
I ziemie strątowane obsiadły miedzą
Szpalerniaki szkieletów, natki trupopierze,
Jadły mózg z ciepłych czaszek, grzyzły martwe serce.

A jednak ktoś mię budził. Ktoś tu biegł pod wieczór
W mundurze Nowym Światem; w noc po Starym

Mieście
Lud ciągnął pod Arsenal. Ktoś mię wtedy przeczuł,
Dosłyszał w gruchach ziemię po cichym zeselecie,
Jak syple się ocknięta i w głąb się obsuwa,
Sto razy pognybiona, kopytem rozbita,
Pije krew rozlewając i na grobach czuwa.

Okrutna rosa schnie już i nowa krew świta.

Szopen jechał na koncert, a Julo do Sally
Na podróżnym tłumoku pisał pożegnanie:
„Ojczyzno miła, żegnaj!” — i długo, prakali,

Gdy w kwietniu krzykiem wiosny wybuchły Iganie
I gdy w liściach wrześnieowych, na wiorstach szesnastu,
Paskiewicz tłumem zaległ, wybił oczy miastu,
I kraj cały, w ślepotcie i okrzyku, poszarpał,
Kibitkami rozdzwonił, wywieszał na szkapach.

Nie płaczcie, matki-włowy, teraz ani później,
Ile razy was listem, przestraszają podróżni,
Ile razy nadzieję stracą przywiozą,
Z Lipska książki tajemne i pisma z Paryża:
Jeszcze tej ziemi cierpieć, otrzasać się grozą
W kościele Karłowitów i kłekać u krzyża.
Poezie to wypiewać, niech kocha i bluźni.

Bo czy ją świat usłyszy? Wciąż natęga słuchów,
Przez sen krzykując znowu: ze strzelby łatanęj,
Na podmokłych ostępach, z podlaskich wydmuchów
W kozacką pułk celuje, do papachy ruskiej,
Postrzały leczy błotem, pajęczyną rany,
I krzyczy do Europy chłopstwo księdza Brzózki.

Aż krzyk się zmienił w szept, a szept — w zamyślenie,
Zamyślił — w gniew pałacy, i posłży kurendą
Wokół, po całym kraju, i krążyć tak będą,
Spowiadając się z sekretów, wywoływać cienie,
Krzyże w lasach listowiem owijać tajemnie,
Serce szepcze do buntu, ćwiczyć do ostatka,
W każdy wieczór wspominać będzie każda matka:
Podjudzaj dumę, ziemio — już nie nadaremnie!

Bo wyjdzie z twoich czadów, od guseł odwyknie,
W zecerni się zaczął, w robotniczych czcionkach,
Rozda broń, zwoła wojsko i potem, gdy krzyknie
I mundury posieje na krakowskich łąkach,
A żołnierzom iść każę wszystkiemu naprzekór,
Nie cofaj się bezwolna, nie ujdiesz tym ręką,
Tej siły, którą wezwał, i mieczom, co przekuła!
Nie odda cię za piękność królewskim łazienkom,
Ani chłopcom za biedę, ani panom za nic,
Zwalone ściany dźwignie, słup wbieje w granic,
Opornych będzie kara, a odór piwniczny
Powiewem swego płaszcza rozpędzi daleko
I powietrze wolności przywoła tragicznej,
By z otwartą umierać i żyć tu powieka.

Podniósł nas. Czuję w głębi ruch mego muru,
Dźwignię ściany rosną, piwnice otwarto,
Ktoś woła mnie, bym wstał i bym piał się górą,
Zaciskał pas kamienny i świecił tu wartą.
Czuję jak gruz się kruszy, odpada spod cęgi.
Widzę miasto i wolność.

Patrzcie ze mną dalej.
Rozsuńcie jeszcze ściany. Chcę bardziej rozległy
Ogarnąć z baszty widok.

Tak mi tu kazali.

Pisałem to rok temu.

Dziś gdy szukam rymu,
Co przyszłość miał tym murem wywrożyć obronny,
Nie mogę słowa znaleźć, czuję zapach dymu,
Gruz pod stopą i w dółku się gubie podzwonnym,
Ach, jak innym, niż echo w tych wierszach użyte,
Echo dział, armat króla, Butorowej sławy —
Dziś, gdy piórem dotykam się ruin Warszawy,
Nie przyszłość jej mam w oczach, lecz grobową płytę.

Ten poemat miał rozwiać mrok na horyzoncie
By z barbakanu Prusy było widać nasze,
Jak patrol na północnym posuwać się froncie,
Erać ziemie aż do morza i ustawiać strażę,
Potem na Wschód miał krzyknąć, bo Rzeczypospolita
Przeleciała tam przez polce, jak woda ze siła,
Na Wschód, za śluską przeciecz, gdzie siadłszy okrzakiem
Jedziesz w przepaść z Maryją i świętym znakiem,
A w stepach grają czajki, wiatr bodlaki będzi,
Dziki wiatr na Jagiellów bezładnej krawędzi.

Nie dla pustej to wszystko miał mówić przechwały,
Ani by naród w pysze doskonale przeżył,
Lecz aby stanął lud mój, podobny do skały,
I nie wiołki się po wiekach w niewoli podróżnej.
Kaleka przetrzącony, co wyciąga łęce
Do mo'nych tego świata, jak po kęs jałmużny,
Po wolność utraceni! Nie, już nigdy więcej!

Słowa te miały rosnąć jak mur odnowiony,
Obronny i zdobyczy, widny z każdej strony,
A barbakany miał bramy otworzyć forteczne,
Bramy na świat — i wolne już po wieki wieczne
Dać Polsce wrota Rzymu.

Tak myślałem i śniłem...

Dziś gdy szukam rymu,
By pod szerokim łukiem tej wolnej przenośni
Ustawić posąg kraju jak mu wola Boża
Łacińską polską wargą kazała najgłośniej
W Północ ze śródziemnego rozpowszechniać morza;
Gdy myślę, by z marmurów ponad muskuł mocy
Wydobyc lot anielski i wzbic go wysoko
Kręgiem, który nad Polską wpisali prorocy,
I taki kościół u nas zbudować opoką,
Niezmoloną przez piekło.

Dziś gdy szukam rymu
I gdy patrzę przed siebie, dokoła lub górą,
Zewsząd groza pod chwijne stacza mi się pióro,
Naród, zamiast na szczycie, znowu widzę na dnie,
Kurz wojny gryzie w oczy, opada beznadziejnie
Na stargane chorągwie, na bezzęczne czoła —
Dziś gdy patrzę przed siebie i szukam dokoła
Jakim zniszczeniem nasze przyrównywać dzieciom,
Z Rzymu po całej Polsce widzę Colosseum.

Ach, bo pogнали znowu saniami w zapusty
I po równinie tłumnym jechali kuligiem,
Konie rwały po śniegu ognistym wyścigiem,
Smola w pędzie płonęła i biczem trzaskali...

Z wielkością samotniczej dźwięk pozostał pusty
I groby śród jawówców.

Co dalej, co dalej?!!
Jedno nam ocalało przestrogą okrutną,
Że wolność jest w tym kraju więcej niż tragiczna,
Że bić się o nią trzeba jak żołnierz o Kutno,
Gdzie krwią spłynęła każda wierzba okoliczna,
Jak o Lwów, jak o Modlin; jak o każde miasto
Nad naszą się dywizją biła jedenaśta
Pallas-Atene, bóstwo męstwa i rozumu...

Bo bił się żołnierz chrobrzy, padał chłop przy chłopie,
(Śród nas dziś o tym głucho i milczą w Europie),
Z bagnietem szedł po nocy, gdy spało żelastwo
I gdy zbrobi się czekał, aż zrobi się jasno,
Bagnetem szukał serca w niemieckim mundurze,
W lasach poszył się szturmem, kłut przez serce w ziemię,
I tak jak krwią polewał piechur po piechurze,
Baterie tak wołały, tak dzwoniło strzemię,
Wiedzione przez boginię męstwa i rozumu...

Gdy zgaśnie czas wojenny, gdy ziemia odkwitnie,
Tuście pszczoły gdy wleczą z lipowego szumu,
Na polach malowanych srebrnie i błękitnie
Znowu śród sianokosów polska wieś spokojna,
Jak bukoliczny sądzić na Mazowszu motyl —
Uwiercie, czas ten będzie tak groźny jak wojna,
Lwy niech się wstępy lęgną u morskich Termopili,
Lwy w jamach Westerplatte! Z warszawskich katakumb
I z tych ścian pełnych dzisiaj biblijnego placu
Drażnie niebotyczna wyproważi Jakób
I najtrudniejsze gwiazdy nam przyszłość wyznaczą,
A naród, cały naród, jak sięgnąć daleko
Dzień i noc patrzeć must otwarcia powieka
W trójcę przeznaczenia, w Rzym na Wielkiej Wifile.

Muzo dziejów! Myślałem tak i dziś tak myślę.

A zapytajcie, z czego wziąć siłę i waleność
Po niewiadomo który raz początek dzieła,
Czy śmierci nie za mało, katakumb nie dosyć,
Gdy tyle ognia zgasto, tyle krwi spłynęło,
Z czego ludzi budować, gdy okrutne cięcie
Po twarzy i po dziejach przeszło znów jak skaza,
Powiadam wam — jest jedno na wszystko zaklęcie
I jedna nieprzebyta jest przed nami kolej,
Czy to kogo upaja, czy to kogo boli:
Z żelaza muszą powstać Polacy, z żelaza

Kask nad czołem geniuszu i włócznia przy boku —
Taki posąg narodu powstanie, Pallaśdo,
Nad miastami w ruinach i nad losem w mroku,
Nad nie usłonięty nigdy w tym kraju zagładą.

Miećcie błysną i sława nasz arsenał dumny,
Kłóć opromienią, zamek, katedrale ściany,
Próła, co w przeszłość patrzy z wyniosłej kolumny
I lud, co znaku czeka, na murach zebrany.

I wtedy niech się Boży sąd nad nami stanie
I wyrok z gwiazd niech spada zaświatowym szumem:
Wyjdźcie wiekom naprzeciw przest w mroku
Swiecie włócznią i czołem, przestwem i rozumem.

Pisane w listopadzie 1918
i w listopadzie 1939.

(„Ziemia Wileńska”)

JAN ŁUKASZ PAŁOWSKI

5 LAT TEMU

Wspomnienia, które Czytelnicy znajdą poniżej, nie roszczą sobie prawa do żadnej „dokumentacji”. Z wielu wrażeń, które mi pozostały w pamięci z dwumiesięcznego pobytu w Warszawie w r. 1939, po jej zdobyciu przez Niemców, wybrałem te, które powierzone, które są dziś jeszcze dla mnie najżywsze. Zresztą świadomość tego, co się w ciągu 63 dni w r. 1944 w Warszawie działo i stało, nie pozwala mi na zbyt dokładną analizę przeżyć. Bardzo wielu z tych, których wówczas spotykałem i bezimiennie choćby dziś wspominać, było w słoty do ostatnich czasów.

Już w Kielcach, przez które przejeżdżam w połowie października 1939 r. dążąc do Warszawy po ucieczce z niewoli niemieckiej, krążyły straszne wieści o zniszczeniu stolicy. Głosiły one, jakoby miasto niemal nie istniało. Brak naczynych świadków nie pozwalał stwierdzić, ile w tym było prawdy, a ile plotki. Na kolejnym etapie drogi, w Skarżysku, wieści trochę zbladły, wreszcie w Radomiu zetknąłem się po raz pierwszy z kimś, kto obciążenie Warszawy przeżył i w obronie jej brał udział. Zniszczenie miasta, choć ogromne, zostało umiarkowane w bardzo wielkiej, ale określonych punktach; ilość ofiar znalazła do liczby przerażającej, ale prawdopodobnej. W kolekcje grojeckiej coraz więcej szczegółów objawiało się o uszy. Późno było w wagonie warszawiaków powracających z wypraw po żywność. Optimizm zaczął mi roznosić się przez czoła, ale jednocześnie mi bliżej Warszawy, tym większy jakiś podświadomy niepokój o najbliższych ten optymizm gasił. Zbliżało się spojrzenie w twarz rzeczywistości całkowicie nie znanej.

Dobiliśmy do Stulecia o godzinie 6 wieczorem i czym prędzej ruszyliśmy do miasta. Godzina 7 była godziną policyjną. Robiło się coraz ciemniej. Postrzelane runy domów na Wierzbnie usłapiły miejsce mniej więcej całym domom na Puławskiej. Olna były ciemne. Bardzo rzadko bliźnie jakieś nikt światła. Na placu Zbawiciela zauważyłem w mroku, że kościół ma tylko jedną wieżę, a na trawniku od strony Ministerstwa Spraw Wojskowych rzędami stoją groby.

Siedziałem coraz wolniej w kierunku domu, gdzie mieszkała moja matka. Po prostu bałem się. Kamienica stała jednak nie ułknięta, a w bramie pan Józef, dozorca, palił spokojnie papierosa. Stanąłem przed nim, nie wiedząc co mówić, o co się pytać. On zaś po prostu mnie przy świetle padających z bramy, powiedział tonem życzliwym-informacyjnym:

— O! I pan wrócił! A to się pani inżynierowa ucieszy!

I dodał, jakby zrozumiał mój niepokój:

— Wszyscy zdrowi.

Po powitaniach, w których w oczach tych, co przeszli pierwszą obronę Warszawy, jak widać uchodził za człowieka, który wrócił z zaświatów, pierwszym wrażeniem, jakie mnie uderzyło, był spokój. Świątelnik nastawiał możliwe radio na Londyn, skąd po chwili usłyszeliśmy nieco późniejszy głos speakera (był to znacznie późniejszy londyński mój znajomy, dr Zbigniew Grabowski, który poinformował nas, co się dzieje na świecie. Wyglądało to dość nieciekawie na obecnych nie zrobiło wrażenia). Zgromadzeni bardzo spokojnie traktowali kłosa, w które wówczas wierzył na pewno cały świat, a które jednak zbankrutowały podczas „armistycie” 1940”. Po przeliczeniu nastąpiła epicka informacja o kryzysach, przyjaciółach i znajomych, wywołana przez ludzi aż nabyłby już wtedy otępienia, że zjawiskiem śmierci, jako czymś bliskim i nieuchronnym.

Następnego dnia okazało się, że w podwórzu wpadła mała bomba i zabija dwu żołnierzy i czterech konie z oddziału kawalerii, który tam stał. Stąd były czarne plamy na murach. Prosta informacja i druga, że nie warto się tym przejmować, że Niemcy zajęli Warszawę, bo to kiedyś się skończy a trzeba pamiętać, żeby mieć zdrowe nerwy, bo się przysiadają na bardziej decydujące czasy.

Przyznać muszę, że dla mnie, który bądź co bądź pętał się pod bombami i ogniem od pierwszego września do drugiego października, ten spokój był początkowo niepokój. Bo to nie było opanowanie nerwów. To był realny stosunek do rzeczywistości. I zaryzykuję twierdzenie, że mój najbliższy przyjaciel, mój swagier, wielu kolegów i znajomych i ja sam wreszcie, którzyśmy gdzieś na rozmaitych polskich, wreszcie frontach starali się spełnić swoje zadanie, mieliśmy bardziej starane nerwy niż ci, co przeszli jedną z największych bitew w kampanii wrześniowej,

Ten zaś spokój, jak mi się zdaje, cechował całe społeczeństwo warszawskie. W każdym razie spotykałem się z nim często, bardzo często. Ta niezmienność miała swoją podbudowę w jakiejś irracjonalnej wierze, że się wojna szybko i pomyślnie dla Polski skończy.

Kiedy się szło w biały dzień przez ulice Warszawy, przede wszystkim zwracał uwagę ogromny ruch pieszy i brak środków lokomocji. Każdy, bez względu na wiek i płeć, miał ze sobą koszyk czy torbę, bo się mogła zdarzyć okazja do kupienia jakichś wiktualii w odległej od własnego mieszkania dzielnicy. Obok przepakni z produktami żywnościowymi, liściem na wpół spreparowanego tytoniu, wódką, wi-

rozbił szafę w rogu pokoju i wywaliłszy niewielką dziurę w ścianie wyleciał na podwórko. Rodzina siedząca wówczas w tym pokoju, opowiada co i jak, bardzo spokojnie i dodaje:

— Nawet szyby nie wyleciały...

Ponieważ zaś ci sami ludzie rozprawiali zupełnie fachowo o czułości zapalników, trudno ten spokój zakwalifikować jako nieświadomość niebezpieczeństwa.

Na wszystkich skwerach, a nawet i na wąskich trawnikach wzdłuż Alei Ujazdowskich, czy Jerolimskich były groby. Do krzyżów, nierzadko zbitych z nawpół spalonych żerdzi, przybite były zwykłe deszczułki, czy kawałki tektury z nazwiskiem pochowanego. Czasem na grobie leżał hełm,



Ruiny ul. Senatorskiej, z widokiem na kolumnę Zygmunta

działo się ogromną ilość wózków z książkami, gdzie za małe pieniądze można było kupić często bardzo wartościowe wydawnictwa.

Widziało się też rany miasta. Ulica w perspektywie wyglądała cała, ale co kilka, lub kilkanaście domów — zalecał się od zieleni — pokazywało się, że stoi tylko ściana frontowa, kamienica zaś jest wewnątrz spalona, albo zniszczona przez bomby. Wtedy, prawie zawsze, czuło się trupa w rozkładających się ciałach tych, którzy pod gruzami zginęli. Oczywiście odgrzebywano te zwłoki, ile się pochować. Zjawiano się tym przedsięwzięcia cywilne założone przez bezrobotnych. Saperzy niemieccy rozgrzebywali te domy, których ruiny groziły zwałami się na ulice.

Zresztą zburzenie domu nie zawsze pociągało ofiary. Ludzie z całej kamienicy chodzili się w czasie bombardowań do mieszkań parterowych, a gruz z pozostałych pięter nierzadko tak się jakoś układał, że to improvisowane schrony pozostawały nie naruszone. Dodacze muszę, że o tym mniej lub więcej cudownych ocenach opowiadał sobie z humorem, jako anegdota. Pokazał mi ktoś np. balkon na czwartym piętrze, za którym od wewnątrz ziała trzęsąca się przepaść do bomb.

— Tu był bardzo zabawny wypadek! — powiedział mój informator. — Na tym balkonie stała jakaś pani i trzepała dywanik. No i akurat bomba bąknęła w dom, ten się zawalił i pani nie mogła zejść z balkonu. Stąd ogłowiła ją musiała zdejmować. A ktoś innego pocisk artyleryjski wpadł przez okno do pokoju, stracił żyrandol.

karabin, czasem napis głosił: „Nieznany obrońca Warszawy”. Groby te Niemcy kazali zlikwidować do 15 grudnia 1939 i przenieść zwłoki na cmentarz. Po tym terminie ekshumacjami i pogrzebami miały się zająć miasto — jeśli by się nie znalazły rodziny. Ponieważ już do połowy listopada można się było zorientować, że niektórzy polegali rodzin nie mają, nierzadko pogrzebani zajmowali się ludzie zupełnie obcy.

Miasto, biorąc rzecz materialnie, najwięcej uciepowało od pożarów. Bomby kruszące spadały na jedynę i niszczącej wodociąg, brak zatem wody nie pozwalał na ratunek kruszących bomb zapalających. Niejednokrotnie kobiety i dzieci dźwignęły na dachach spychały te bomby na ulice, ale było ich zbyt wiele, by ta bohaterka akcja mogła dać poważne rezultaty.

Spalony był doszczętnie Zamek, pałac Prymasowski, (Ministerstwo Rolnictwa i Pałac Rady Ministrów, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Spraw Wojskowych, gmach główny Uniwersytetu, kilka pawilonów Politechniki, Teatr Wielki, stary dworzec Wiedeński z wieżą zegarową... Nie istniała po prostu ulica Wierzbowa po stronie przeciwej MSZ. Bieleńska na przeciw Banku Polskiego, połowa Młodziej, Marszałkowska od Prochów do Królewskiej. Trudno wszystkie te wielkie rany pamiętać, a zresztą i tak ma to dziś wartość jedynie wspomnienia.

Bomby kruszące wyrządziły oczywiście też ogromnie duże szkody. Upadły między innymi na Katedrę, Muzeum Narodowe, Ministerstwo Skarbu, Teatr Polski. Poza tym poburzyły całe dziesiątki domów mieszkalnych. Całkowitemu rozwaleniu ul-

gią np. znana kamienica Malinowskiego na rogu Chmielnej i Nowego Świata. W połowie listopada, a więc w blisko dwa miesiące po kapitulacji Warszawy, odkopano tam w piwnicy bodaj siedem osób żyjących. Urzuliśmy się przy życiu dzięki surowym kartoflom i wodzie sodowej. Wszyscy odesłali i powariowali.

Rozmaite niemieckie komisje z „zaproszonymi” rozkazem polskimi rzeczownikami mi obliczały procent zniszczenia miasta i nakazywały Biuro Planowania Warszawy opracowanie planów odbudowy. Ekspert niemiecki, zazwyczaj autentyczny profesorowie uniwersyteckie, oceniali przedwojenne plany urbanistyczne bardzo życzliwie, ale nakazywały modyfikację, ponieważ Warszawa stać się miała „miastem prowincjonalnym i węzłem komunikacyjnym na szlaku Berlin-Moskwa”. Mój kolega, architekt, pracujący we wspomnianym biurze, oświadczył melancholijnie, że wiele nie zwalczonych przed wojną problemów urbanistycznych zostało rozwiązanych już przez obciążenie aż nadto radykalnie.

Stosunek Niemców zmienił się na gorsze po przejęciu władzy od wojska przez SS i Gestapo. Plakaty, sowicie rozwieszone przez organy „dr Otto, nadburmistrza Warszawy” względnie generalnego gubernatora Franka, obwieszczały wykonanie wyroków śmierci na osobach wszelkiego stanu, płci i wieku. Naturalnie, starano się temu nadać pełne pozory prawa i nawet czasami posługiwano się uzasadnieniem, zaczerpniętym z polskich ustaw. Zabijano ludzi, wywołano zbiorę szluby, biblioteki, urządzenia pracowni naukowych, konfiskowano własność Polaków — wszystko pod płaszczykiem prawa. Bywały też i pewne nieporozumienia: dowództwo frontu zwołniono z niewoli oficerów i żołnierzy, obrońców Warszawy i Modlina, przyznając im nawet prawo chodzenia w mundurach, ale administracja „cywilna” po dziesięciu dniach wywołała ich do Ofiagów. „Taktowny” „dr dr Otto” wyjaśnił, że chcieli oni zawiązać spisek.

Organizacje podziemne zaczynały się tworzyć. Utrudniał im prace brak zaufania między ludźmi. Najlepsi przyjaciele z sprzed wojny witali się serdecznie ale o polityce nie rozmawiali. Psychoza „plątej kolumny” działała, choć jej rzeczywistych, a zazwyczaj niepokoleń pochodzenia członków szybko zdemaskowano. Chuchano na zimno. Robotka jednak szła, organizowano podsiuchy radia, zabronionej kategorii, co w pierwszej połowie listopada, porozumiewano się między sobą, i wzywano wszystkich zdolnych do noszenia broni, a przede wszystkim oficerów — zgodnie z rozkazem gen. Sikorskiego — do przedzierania się do wojska, do Francji.

Opinia w tej sprawie była jednolita. Postrawiono, że zostaną ci, którzy mają (były tego wówczas pozory) możliwości utrzymania się z jakichś konkretnych, zalegalizowanych źródeł zarobkowania, a reszta ma iść na Zachód, albo przelcieć i tak niedługo wrócić”. Mówiono też, że nie ma się powtórzyć powołanie niewłaściwych ludzi na niewłaściwe stanowiska. „Macie w większości fach w ręku, więc wróćcie na swoje stanowiska”. Wy odchodzicie, na emigrację musicie naszą opinię utwierdzić...”

Czyśmy to zrobili, nie wiem. Długo staraliśmy się...

Cechą życia gospodarczego był przede wszystkim handel domokrężny. Wszyscy handlowali wszystkim, by jakos zdobyć środki utrzymania. Funkcjonowały es prawa instytucje miejskie i niektóre państwowe (koleje, poczta, urzędy skarbowe) oraz trochę przedsiębiorstw prywatnych, ale wbrew rosnącemu drożyznie, pensje redukowano. Chwytali się więc ludzie czego się dało. Wózek gruz z mocno postrzelanej przez artylerię Saskiej Kępy, spotkałem na punkcie wydławiłowym kolegów po przygodnym fachu ze wszystkich zawodów i klas społeczeństwa. Na dwie setki prawdziwych woźniców było coś ze trzech. Cieszyli się ogólnym poważaniem i bezinteresownie udzielali fachowych porad. Czekając na kolejkę zrzucenia ładunku towarzystwo rozprawiało o polityce znacznie śmielej, niż w innych miejscach publicznych, bo instynkt kolegowo ze zdeklassowanych ze względu na zadawanie spory z prawem strat umiał w porę ostrzec psymykiem. Jeśli zjawiał się ktoś niepowołany.

O partiach politycznych mówiło się wszędzie mało. Polska miała wrócić szybko, oczekiwano przez zorganizowane społeczeństwo (wtedy było wtedy iluzji, niż rzeczywistości), na bagietkach francuskiego i angielskiego sojusznika. Na ulicach zaś dźwięczała „Warszawianka” grana niemal bez przerwy przez domokrężne orkiestry pod nosem patroli Gestapo. To był symbol ówczesnej Warszawy.

Warszawę opuszczam, 6 grudnia 1939r.

Z „BIBLIOTEKI ORŁA BIAŁEGO”

— W serii „Biblioteka Orła Białego” ukazały się dwie nowe książki. Witold Szyński, st. asystent Kliniki Neurologicznej U.S.B. w Wilnie, ogłosił książkę pt. „W laboratorium radości życia”. Jest to „zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego”.

Jan Bielawski wydał pt. „Azja i Afryka”. „Antologię poezji polskiej na Środkowym Wschodzie”. Obejmuje on wiersze następujących poetów: Lecha Piłsowskiego, Bogumiła Andrzejewskiego, Czesława Bednarczyka, Jana Bielawskiego, Zdzisława Broncia, Ludwika Biesiadowskiego, Władysława Broniewskiego, Józefa Bujnowskiego, Jędrka i Czechowiczówny, Marianna Czuchnowskiego, Czesława Dobka, Stefana Ejdlera, E. Jędraka, Glinki, R. Grzymały, Go,

Mariana Hemara, Władysława Hoffmana Władysława Jaworskiego, ks. Kamila Kantaka, Bolesława Kobrzyńskiego, Feliksa Konarskiego (Ref — Rena), Jerzego Dęgi, Kowalewskiego, Anatola Krakowskiego, Janiny Królkowskiej, Jana Kudrewicza, Jerzego Łaskowskiego, Stefana Legęzińskiego, Stanisława Ligonia, Teodozji Lisiewicz, T. Lubicza, Artura Międzyrzeckiego, Zygmunta Milewskiego, Henryka Mirzwinzkiego, Stanisława Młodziejewicza, Romualda Moszora, Kazimierza Nałęcz, Beaty Oberbryńskiej, Jana Olechowskiego, Lucjana Paffa, Marii Petry, Bolesława Rodzińskiego, R. Rosińskiego, Kazimierza Sawicza, Sindbada, Władysława Skupienia, Tadeusza Sowickiego, Witolda Szyfera, Janusza Wedowa, Tadeusza Wittlina, K. Winiatowskiego, Go, Jerzego Woszczyńskiego, Józefa Zywny.

ENRICO DAMIANI

O KULTURZE WŁOSKIEJ W WARSZAWIE

Jesienią fatalnego roku 1939, kiedy pierwsze zniszczenia brutalnej napadzi nazistowskiej zapowiadały w umiędzonej Polsce pejątek kalwarii narodów i kiedy zaczęło się pod bezlitosnymi pociskami artylerii i lotnictwa niemieckiego burzenie Warszawy — doszedł mnie z Warszawy tułacz. Do Rzymu (było to dokładnie w listopadzie 1939) przyniesiony osobiste i doręczony jako relikwia i zarazem jako niebezpieczna kontrabanda wojenna, duży i piękny tom studiów nad kulturalnymi stosunkami włosko-polskimi, który się świeżo ukazał w Warszawie. Tytuł jego brzmiał: „Z dziejów włosko-polskich stosunków kulturalnych”. Autorem jego był Mieczysław Brahmmer, profesor literatury włoskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Wydany był przez Towarzystwo Literackie im. Mickiewicza i stanowił część „Biblioteki Pamiątki Literackiej” (tom V serii.)

Ukazał się świeżo w chwili, gdy hordy nieprzyjacielskie purły na Warszawę i cywilne życie stolicy polskiej, tak zawsze bujne i wrzące, nagłe zamario, złożone na ofiarę w imię świętego ideału.

I tak ów tom, zaledwie wydrukowany, nie mógł nawet opuścić drukarni, ani domu wydawnictwa, ażeby nieść polskiemu czytelnikowi pogodnie i szlachetnie słowa pokoju i kultury.

Jednakże mój serdeczny przyjaciel Brahmmer, z którym od lat łączyły mnie silne więzy wspólnej pracy, ideałów i wiary, wspólne w atmosferze bliskiego sąsiedztwa duchowego, w naszym wypadku polsko-włoskiego, a w ogóle w atmosferze „ludźkości” — mój przyjaciel Brahmmer, sam już teraz będąc jedynie odlakiem ogromnej ruiny jego ojczyzny, postarał się korzystając z rzadkiej okazji uratować od zniszczenia i przysłać mi do Rzymu, pomimo niemałych trudności, egzemplarz swojego tomu.

Cała książka o stosunkach kulturalnych między Włochami i Polakami, która ukazała się właśnie pod ciętymi najpotworniejszej obrazie dla kultury, dla cywilizacji, dla ludzkości, jaką zanotowała dotąd historia świata, ocalała prawie cudem Boskim spod ruin mordowanego miasta... W tym wszystkim było naprawdę coś niemal mistycznego, coś nadludzkiego, nadprzyrodzonego, co wznosiło się ponad zwykłe koleje życia, ażeby zlać się w jakiejś wyższej sferze z całą tą atmosferą romantyzmu, meşjanizmu, tak typowo polską i tak ściśle się łączącą z niewyczerpanym zasobem nieszczęść, poświąceń, porywów, nadziei, rozczarowań, męczeństwa, jakie szczególnie charakteryzują naród polski pośród wszystkich narodowości świata. I to sprawiało, że dar oddalonego przyjaciela z dalekiej ziemi bólu zawierał coś świętego, co czyniło zeń jakby symbol, potwierdzający pośród huków i rzezi wojennej oraz gwałtowności siły zwierzęcej niezniszczalne wartości kultury, łączące i bratające ludzi i narody poza i ponad każdym ludzkim brutalnym zatargiem interesów czy apetytów.

Serce mi się krwawiło, jak i każdemu Włochowi, nad zagładą Polski, a słowa szlachetnego mego przyjaciela Polaka, podczas kiedy historia Europy plamiła się nową krwią i nowym szaleństwem, wynosiły ponad ową rzeź, poprzez wykład poważny a wymowny o niektórych przejawach i momentach ideowej wspólnoty narodów włoskiej i polskiej, pogodnie przykładały ich bohaterstwa w ciągu wieków, i gromiły niemal cały świat...

Mało kto, z pewnością, dostąpił przywileju poznania, czytania i posiadania owych książek Brahmmera, której ciekawie nam udało przywilegi, wadług wszelkiego prawdopodobieństwa, grzy zniszczonego miasta...

I dzisiaj, kiedy już zburzenie Warszawy, wówczas ledwie rozpoczęte, choć tak już wtedy tragiczne i bohaterkie, stało się dzięki podłości napastnika i heroizmowi obrońców budzącym groźę faktem dokonany, kiedy z dnia na dzień, ponad ponurymi chmurami wojny, horyzont roźni się wolność, zbliżająca się coraz bardziej ku umiędzonej Polsce i całemu cywilizowanemu światu, kiedy Polacy i Włosi walczą jeden u boku drugiego łocznie na rozdarciu ziemi włoskiej swe wiekowe braterstwo, przypomnieć chęć tutaj — przy okazji całopalnia Warszawy — ową szlachetną książkę Brahmmera, nikomu jeszcze nie znaną w samej Polsce, książkę o tak głębokim znaczeniu ze względu na jej treść i na okoliczności jej ukazania się. Chęć przez to podkreślić, jeden raz więcej i jednym świadectwem więcej, wyraz owej polskiej solidarności uczucia, jakie w sercu Włochów wzorowały tak bólowi braci polskich pod ciosem nowego straszego

nieszczęścia, jakie na nich spada, jak i słuszną ich dumie ze złożenia tej nowej, wielkiej ofiary.

Parę słów o treści książki. Dzieło Brahmmera z historii stosunków kulturalnych polsko-włoskich, owoc wielkiego umiłowania przedmiotu, głębokiej erudycji i kultury oraz długich lat studiów, zasługiwałoby, chociażby ze względu na powagę samego tematu, na rozbiór o wiele szerszy i szczegółowszy. Ale dzisiaj chodzi nam jedynie o wskazanie jego znaczenia i należnego mu miejsca w zakresie owej wspólnoty

stał się sobie żywe wspomnienie w kulturalnych środowiskach włoskich, a zwłaszcza na Uniwersytecie Rzymskim, gdzie od 1933 po 1937 r. wykładał język polski i gdzie wykazał się bardzo wybitną pracą naukową, zanim uzyskał upragnioną nagrodę długich lat pracy i umiłowanej specjalizacji: katedrę literatury włoskiej na Uniwersytecie Warszawskim, przynajmniej w r. 1938 za wyjątkowe zasługi na polu italianistyki.

Zbierając tedy i porządkując serię studiów i szkiców na różne tematy, albo raczej na różne odcienie wielkiego tematu

głędzie „L'Europa Orientale” oraz w osobnym wyciągu Istituto per l'Europa Orientale (w r. 1937) stanowi w nowym zbiorze Brahmmera coś w rodzaju przedmowy, wprowadzenia w treść następujących rozdziałów.

Zasadniczymi tematami tych ostatnich są: „Samowole padawskich studentów”, „Samochwał włoski w kontuszu”, „Sobieski a Włochy”, „Włoska oprawa Tobiasza wyzwolonego”, pewne przejawy stosunków między Wenecją a Polską, ccha kwestii polskiej we włoskiej poezji Risorgimento, „Okruchy powołzenia „Quo Vadis?” we Włoszech”.

„Samowole padawskich studentów” dają okazję autorowi do zarysowania na tle studenckiego życia w w. XVI cech charakterystycznych środowiska, w jakim się kształtował umysł humanistyczny największego klasycznego poety polskiego, Jana Kochanowskiego.

„Samochwał w kontuszu” jest to Włoch, kapitan Spaventa, przechodzący szczególne koleje także w Polsce. Tymi kolejami zajmuje się właśnie Brahmmer zatrzymując się zwłaszcza nad dialogami aktora i autora komedii z Pistoi w w. XVI-XVII, Francesco Andreini, przetłumaczony przez Chr. Pickarskiego i nad ich charakterystycznymi cechami polskimi w porównaniu z włoskimi.

Część odnosząca się do Sobieskiego we Włoszech jest najobscerniejsza i najbogatsza. Składa się ona w rzeczywistości z trzech rozdziałów, malujących kolejno stosunki dworu Sobieskiego i florenckiego dworu Kosmy III, widziane tak poprzez serię wzajemnych darów, znamienych dla owych czasów i ludzi, jak poprzez poszczególne epizody, niemniej znamienne i znaczące („Florenckie upominki”), nadzwyczajne ccha włoskie uwolnienia Wiednia od Turków przez Sobieskiego w r. 1683, wyrażające się w serii wspaniałych zabaw, okazynych poematów itp. („Poetyckie wawrzyny zwycięzcy spod Wiednia”), zainteresowanie się polskiego dworu Sobieskiego spektaklami kompanii włoskich komediantów, która zjechała do Warszawy w r. 1688, pozwała Brahmmerowi poruszyć temat stosunków włosko-polskich w dziedzinie teatru („Wioscy komediantów króla Jana”).

Szkic na temat: „Tobiasz wyzwolony” St. H. Lubomirskiego (1636-1702) podkreśla szczególnie wpływy Ariosta, Mariniego i innych włoskich poetów na poetę polskiego.

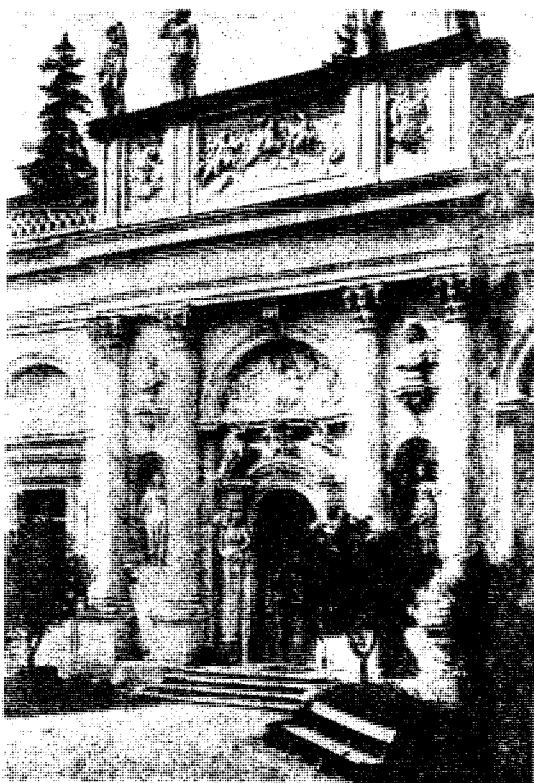
Rozdział: „Pod urlokiem Wenecji” ukazuje nam rozmaite źródła uroku, jaki Wenecja od wieków wywierała na Polakach (organizacja państwowa Republiki, stosunki handlowe, wspólnota interesów oraz wspólne walki z Turkami, zwiazki artystyczne, naukowe, wydawnicze), i rozwodzi się przede wszystkim nad różnymi jego oddźwiękami w dziełach pisarzy i poetów polskich, od Węgierskiego do Krasinskięgo, Norwida, Konopnickiej, Zeromskiego itp.

Przedostatni rozdział tego wielkiego zbioru studiów: „W walce o wolność” zajmuje się echem kwestii polskiej u niektórych włoskich poetów Risorgimento (zwłaszcza Alessandro Poerio), oświetlając nie znane, mało znane albo zapomniane fakty, dowodzące solidarności ideowej Włochów z wielką sprawą Polski.

Zamykają wrzecie serię obrazy, twierdzenia i uwagi, oparte na bardzo ciekawych danych, dotyczących wyjątkowo silnej łączności pomiędzy popularną powieścią Sienickiego „Quo Vadis?”, a pewnymi przejawami kultury i literatury włoskiej tego czasu.

Taka byłaby w ogólnych zarysach zawartość całego tomu, rzucanego piekielną siłą wojny pod ruiny polskiej stolicy. Ale odrodzenie Polski jest już bliskie. Na gruzach Warszawy powstanie wkrótce Warszawa nowa, jeszcze słynniejsza i piękniejsza, bo uświęcona nową swoją męką. I tak, jak Warszawa powstanie ze swoich ruin jeszcze słynniejsza i piękniejsza, oby podobnie na gruzach całego świata, kultury i cywilizacji, odrodził się inny, lepszy świat cywilizacji, kultury, braterstwa, ludzkości. Książki takie, jak tom Brahmmera, są głazami do budowy tego świata. I do tomu tego, który ukaże się wówczas w drugim wydaniu, trzeba będzie dodać rozdział nowy: nową pamienną stronę braterstwa duchowego polsko-włoskiego, która piszą dzisiaj własną krwią żołnierze polscy walczący obok Włochów na włoskiej, rozdarłej ziemi, ażeby oswobodzić Włochy, oswobodzić Polskę, oswobodzić świat, uratować cywilizację i kulturę.

Tłum. Halina Waga



Fragment prawego skrzydła pałacu w Wilanowie.

umiślowej polsko-włoskiej, którą jednak tragedia narodowa polską i włoską akcentują przy nowej, ciężkiej ranie...

W każdym razie zaznajamiając polskich czytelników „Orla Białego” bodaj lepiej nie z owym „ostatnim dziełem o kulturze włoskiej, jakie się ukazało w Warszawie”, ostatnim z długiej serii (czytelnikom włoskim wskazałem już o r. 1940 pisma „L'Europa Orientale” i „Archivio della Cultura Italiana”), muszę życzyć, ażeby doznało ono tak pośród Polaków, w Polsce wolnej i odrodzonej, jak pośród nas, we Włoszech, w pożydanym tłumaczeniu włoskim, tego przyjęcia i rozpowszechnienia, na jakie zasługuje.

Praca Brahmmera składa się z różnych części. Niektóre z nich znalazły już w przybliżeniu, dzięki bądź to uprzednim publikacjom w języku polskim i włoskim, bądź też samemu autorowi, który pozostawiał

stosunków kulturalnych polsko-włoskich w przeszłości, zaczyna autor od przedmiotu ogólnego, jaki już mieliśmy okazję poznać na ostatnim jego, poźniejszym wykładzie na Uniwersytecie Rzymskim w r. 1937, kiedy to opuszczając kotłowie i słuchaczy włoskich, „jak pielgrzym, co zruca przed wyjściem z Rzymu swój ubogi groz do fontanny Trevi”, we wstrząsających słowach wywołał okresy i przejawy rozpowszechniania się włoskiej literatury w Polsce poprzez wieki i zamkniętą życiem, ażeby drogę mu studia nad wzajemną kulturalną wymianą naszych narodów doszły w najbliższym czasie do nowych i owocniejszych wyników, mogących uzupełnić te już wcale spore, które udało się dotąd zbierać.

Rozdział o studiach i o rozszerzaniu się literatury włoskiej w Polsce (ogłoszony już prawie dośownie po włosku w prze-

STOLICA NOWEGO ŚWIATA

Idą fale eteru przez noce skłębione i dni.
Wszystkie opłoty miasta, minęły graniczne stupy...
Na New-York, Londyn, Moskwę, na Paryż, Madryd, Rzym
Spadają wciąż z losokotem —
Warszawskie trupy.

Ziemia wchłonęła nie może śmierci na szczytach cierpienia
I nie przepięła jej pyłem zgniewne idące lata.
Będzie się ciągle przewalać ława kipiąca w podziemiach
Warszawa — dymiący krater.

Nasz los rozpalac łunę na mrocznych horyzontach
I trwogę ścisnąć serca moźnych imperium świata,
By wiatr rozniósł iskry po wszystkich morzach i łąkach —
Warszawa plonie! — nie pada!

A kiedy nadzieję wrzescie chwila nieubłagana
I ludzie nowej wiary pochodnie buntu pochwyta
Ty będziesz, paląca rano, Warszawo zdruzgotana —
Nowego świata — stolica.

Jan Olechowski

ETTORE LO GATTO

Włoscy artyści w Warszawie

Kiedy wiele lat temu, zaraz niemal po wojnie 1914-1918 r., przekraczałam po raz pierwszy granicę Polski, żeby się udać do Warszawy, pragnąłem z całego serca zetknąć się wreszcie bezpośrednio ze światem dotąd znanym mi tylko częściowo, poprzez literaturę, ale już drugim ze względu na owe wspomnienia historyczne, tak bliskie wszystkim młodym z mojej generacji, dzięki studiom nad włoskim risorgimento. To nasze przygotowanie historyczne sprawiło, że walka Polski o niepodległość przedstawiała nam się taką, jaką była w rzeczywistości, a więc identyczną z walką Włoch przeciw Austro-Węgrom i Niemcom; ono też skłoniło wielu nas młodych do bliższego poznania ojczyzny Kościuski i Mickiewicza, ziemi, którą kochał i ogłuszał Giuseppe Mazzini i którą Francesco Nullo skupił w jedną krew, za jej wolność i niepodległość. Słabe miałem wówczas pojęcie, wyznając, o innych zwyciężkach: wiedziałem, że w ubiegłych wiekach Polacy przyjeżdżali na studia do uniwersytetów włoskich w Padwie i Bolonii, że artyści włoscy pracowali dla polskich królów — i niewiele poza tym.

Pierwsza moja podróż do Polski miała tedy na celu pogłębienie mojego jeszcze skromnego zasobu wiadomości.

Do Warszawy zjechałem po zatrzymaniu się najpierw w Krakowie, i tutaj to oczywiście objawiła mi się wartość innych związków kulturalnych, zwierzchni artyści, którymi miałem się później zajęć szczegółowo. Dzisiaj — po przeszło dwadzieścia lat, kiedy przemierzam wzdłuż i wszerz Rosję, Polskę i Czechy, żeby śledzić działalność włoskich artystów w krajach słowiańskich — dzisiaj powinienem już być zapomnieli o wrażeniu doznany przy pierwszym zetknięciu, o pierwszym zdumieniu, pierwszym entuzjazmie. A jednak żyje ono we mnie, i zawsze świeże, bo z tego to właśnie wyjątkowego, nie oczekiwanego wrażenia zrodziła się bez wątpienia chęć poznania i studiowania, jak też później zrobiłem — źródło cywilizacji wszystkich trzech krajów słowiańskich, o tak różnej przeszłości i orientacji w dziedzinie ich stosunków z Europą.

Jeszcze obecnie, mając pamięć pełną nazwisk artystów włoskich, którzy od renesansu po XIX w. nieśli pochodnie swej twórczości do krajów słowiańskich (jak Cini, Bellotti, Fontana, Baccarelli, Lampi, Marconi, Corazzi w Polsce, Spazio, Lurago, Canevale, Santini w Czechach, ażby zacytować choćby kilka imion z listy niezliczonej), jeszcze obecnie nie łatwo mi jest powiedzieć, w którym kraju ślad ich pozostał najwyraźniejszy i naucejście najobfite wydawało owoce; bardzo bowiem różne okazały się wyniki zależnie od charakteru poszczególnych krajów. Myślę przecież, że mogę twierdzić, iż w Polsce więcej niż gdzie indziej, doszło do prawdziwego zlania duchowego pomiędzy artystami z „dalekich stron” i narodem, który ich i siebie gościł, kochał i cenił według ich wartości. Ani w Rosji, ani też w Czechach ciągłość pomiędzy renesansem, epoką baroku i neoklasyzmem, rozpalanymi pod kątem twórczości włoskiej, nie zarysowuje się tak jasno jak w Polsce, gdzie dzięki wspólnej z Rzymem wierze i kulturze dzieła architektury, malarstwa i rzeźby pochożenia włoskiego nie noszą owochu pływającego importu, jakie często charakteryzuje sztukę w prawosławnej Rosji, albo narzucają przemocą, jakie się widzi niekiedy w Czechach po klęsce pod Białą Górą w r. 1612.

W Polsce ciągłość chronologiczna posiada niezbitych wartości duchowej i rzuca się to w oczy każdemu Włochowi, który zwróciła choćby tylko Kraków i Warszawę. To samo wrażenie odcinam i ja za pierwszy raz, po niejsze zaś studia w naszym wrażeniu tego nie osłabły. Najciekawsze z wszystkich jest zestawienie Warszawy z Petersburgiem. Napływ artystów włoskich w XVIII w. nie był może mniejszy w Warszawie niż w Petersburgu, gdzie nadsłonił on charakterystyczny styl nowej stolicy rosyjskiego imperium. Ale podczas kiedy Rosja, po okresie działalności włoskich architektów w Moskwie pod koniec XV w., i na początku XVI, usunęła się spod wpływu włoskiego, który powrócił dopiero przy założeniu Petersburga w 1703 r., gdy wezwano Domenico Trezzini — w Polsce już po pracujących w Krakowie włoskich artystach odrodzenia przyszły architekt baroku, a w Warszawie, z pojawieniem się na początku XVII w. nazwiska Jana Włocha, budowniczego ko-

ścioła Dominikanów, otwiera się nowa seria budownictwa, pracujących także w Poznaniu, Lwowie, Wilnie i Krakowie. Ich dzieła nie budzą wrażenia obecności w tym kraju, jak np. w Czechach o kwintym wieku baroku w czasie przeciwreformacji, wrogich za to sztuce neoklasycznej, jaka się wspinała rozwinięta w Polsce i w Rosji.

Rzeczą bolesną staje się dzisiaj wywoływanie owej wspólnoty duchowej Polski i Włoch, nawet w dziedzinie sztuki, przywodzi bowiem na myśl straszne zniszczenie przez wojnę i zaciekle wroga. Ale Warszawa i inne miasta polskie powstałe z ruin, dla Polaków zaś pamięć o dawnym udziale Włoch w kulturalnym rozwoju ich kraju stanowią się tym samym bodźcem jakim dla nas, Włochów odbudowywanych na-ze miasta, będą ślady naszej twórczości, którąśmy obdarzali i obdarzać będziemy w przyszłości inne narody.

Stoi mi zawsze w oczach nie tylko wizja Warszawy wizerowanej po raz pierwszy, ale i tej innej Warszawy z przeszłości, Warszawy z pierwszej połowy XVIII w., uwiecznionej w Zamku królewskim pędzlem Włocha, Bernardo Bellotti, zwanego il Ca-

szawa nowa, jakiej zapragnął król Stanisław August, okazujący nie tylko wielkie zamiłowanie do sztuk pięknych, jak wszyscy panujący jego epoki, ale i prawdziwą pasję budowania, której zadość uczynił znowu i przede wszystkim Włoch. Nowa Warszawa, wyrażająca przejście od baroku i rokoka do neoklasyzmu, miała również swoją główną postać: architekta Domenico Merlini, który w ciągu swej kilkudziesięcioletniej pracy przeszedł pewną ewolucję, od pierwszych dzieł jeszcze w stylu Ludwika XVI aż do konstrukcji o formach czysto klasycznych, które uchodziły za twórcę neoklasyzmu w Polsce. Mimo że pracował z innymi architektami, jak Kamsetzer oraz Włoch, Antonio Fontana (ostatni reprezentant całej rodziny znanych architektów w Polsce w XVIII w.), Merlini sam zaprojektował letnią rezydencję Stanisława Augusta — Łazienki. Pierwotnie znajdowały się one poza obrębem miasta, ale niebawem, przy rozrobie stolicy, stały się jej częścią.

Polakom nie potrzeba przypominać uroku tej rezydencji, ale Włoch uzmysłowia-

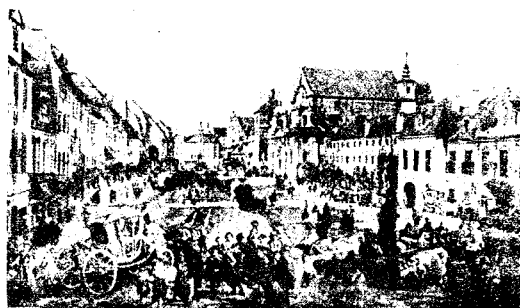
wszyscy, którzy ją widzieli po powstaniu wielkiej i niepodległej Polski. Marconi zaprojektował, między innymi, piękny kościół św. Karola Boromeusza, wspaniały pałac Zamojskich, późniejszą siedzibę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oraz pałac Paca, zespęcony, niestety, później nadbudówkami, niemniej jednak mówiący swoją ogromną arkadą o geniuszu twórcy, któremu może przypominały się potężne, choć często fantastyczne pomysły Piranesiego. Niejednemu z architektów polskich i włoskich marzył o majestatycznej stolicy, mogącej nasunąć porównanie z klasyczną starożytnością. Marzenie to dodało zapewne skrzydeł i Antoniemu Corazzi, architektowi bardzo podnemu i o bujnej pomysłowości. Niektóre z jego dzieł zniszczone za rządów rosyjskich, jak np. piękny pałac Staszyca na Krakowskim Przedmieściu, na którego miejscu stanął pospolity budynek szkolny w stylu pseudo-rosyjskim. Jakże nie wspomnieć tutaj myślicie o Warszawie, spomiędzy gmachów, które się zachowały, a o których nie dzisiaj nie wiemy, gmach Banku Polskiego. *) prosty i uroczyście zaręczony pod swoją kopułą i pałac Lubieckiego z eleganckimi portykami, podtrzymującymi tarasy, mniej może klasyczny w znaczeniu stylu „empire”, ale za to bardziej tradycyjnie włoski, pałac Ministerstwa Skarbu (dawniej Leszczyńskich i Potockich), tak bardzo imponujący i podobny do rzymskiego pałacu Spada, wreszcie Opery, elegancka w swej monumentalności, z długimi, symetrycznymi kolumnadami, i mającą zaszczyt stanowić (obok Teatru Aleksandryjskiego Rossiego w Petersburgu) pierwszy teatr neoklasyczny w polnocnej Europie.

Zbyt długo trzeba byłoby wymienić wszystkie dzieła architektów włoskich, którzy ozdobili budowiami prostymi, lub wspaniałymi, polską stolicę, w drugiej połowie XVIII w. i w pierwszej XIX, nie postawiłem też sobie tego za zadanie; niech wystarczy, że przypomniałem o kilku, dostatecznych, żeby dać pojęcie o naszym udziale w tworzeniu się Warszawy. Udział ten nie ograniczył się zresztą do samej architektury i nie znajduje się Polak, który by nie wiedział, jaki był wkład włoski w rozwój rzeźby i malarstwa jego ojczyzny. Prawda jest, że jeśli chodzi o dzieła sztuki, wybitniejsi artyści, czy to podczas renesansu, czy w epoce baroku, pomiędzy w. XVI oraz połową XVIII, pracowali w Krakowie, Poznaniu, Wilnie i Lwowie, gdzie pozostawili liczne zabytki (pośród owych rzeźbiarzy byli śnieżczyki — Cini, mieszkankie Mantui — Mosca, Lugano — Canavesi, Verony — Rodolphi, posród dekoratorów medallionistów — Salli i Baldassare Fontana, posród malarzy — Dolabelli z Bęglino, Del Bene i Martino Altomonte), niecinie przecież w XVIII w. właśnie Warszawa Stanisława Augusta gromadziła większych malarzy włoskich, pracujących w Polsce, jak: portreciści i dekorator — Marcello Baccarelli, portreciści Giovanni Battista Lampi, Giuseppe Grassi, pejzażyści Bernardo Bellotti, zwany il Canaletto. Co się zaś tyczy rzeźby, niech wystarczy wspomnieć o głosnej kolumnie z pomnikiem króla Zygmunta, wzniesionej przez dwóch Włochów, Constantino Tencalla i Clemente Molli. Pierwszy był architektem Władysława IV, drugi znany był również we Włoszech ze swoich prac w Rawennie i Bolonii.

He z tych dzieł, wspomnianych tu i nie wspomnianych, jakie w ciągu wieków włoski geniusz złożył wspaniały polskiej stolicy, będzie nam dane jeszcze oglądać po wojnie? Do przynęgnięcia po strasznych stratach drogi nam osób i mienia dołączyć się z pewnością i to inne, spowodowane przynęgnięciem, powstała po zniszczeniu dzieł sztuki. Niech nam w bólu będzie pociechą wiara, że zniszczenie dzieł już stworzonych nie oznacza zabicia twórczego ducha i że zbliżone do siebie tak przeszłością, jak nieugiętą wiarą, Italia i Polska podejmą również na polu sztuki ową współpracę umysłów, która jednemu stanowi istotną, głęboką i niezniszczalną cywilizację narodu.

Thum. — Halina Waga

Rzym, 8 października 1944.



Widok Warszawy, według obrazu Bellotti (Canaletto)

naletto, ulubionego malarza Stanisława Augusta Poniatowskiego, artysty, który „urodzony — jak się pięknie wyraża hr. R. Przeździecki — w złotych mgłach wieńskich zmierzchów, kiedy nawet oddawał szczegóły z dokładnością dokumentu, jeszcze potrafił ować oparami daleki horyzont, w którym blade wody Wisły były się pod kopułą jasnego nieba w pogodny dzień letni”.

Do stworzenia tej Warszawy, pozostawionej w spuściznie Stanisławowi Augustowi przez królów saskich, poważnie przyczynili się artyści włoscy, a wśród nich na pierwszym miejscu Giuseppe Bellotti, główny autor słynnego pałacu Krasińskich, zwanego po wojnie „Pałacem Rzeczypospolitej”, projektodawca kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, jednego z najpiękniejszych kościołów barokowych Warszawy, tworca wreszcie ślicznej rezydencji Jana Sobieskiego, Wilanowa, zostawiającej niezatarte wspomnienie na każdym, kto choć raz ją zobaczył.

Tę Warszawę, która tyle już zawdzięczała innym Włochom, jak Lucchi, Ceroni, Affati, obok Holendra Tylina i Niemca Schlutera, przysłoniła częściowo War-

sawie z dumą, że to jego rodaka pomysłem sobie „pałac” z bajki, biały i lekki, odzwierciedlający swe napojone słońcem mury w błękitnej fali jeziora”, jak sugestywnie pisze wyżej wspomniany hr. Przeździecki. Łazienki nie były zresztą jedyną rezydencją, jaką Merlini zbudował. Do budujących duże zainteresowanie dzięki ich charakterowi w klasycznych, jakich tyle w ciągu drugiej połowy w. XVIII i na początku XIX ozdobiło niezmierzone pola polskiej równiny, należały także Jabłonna i Królikarnia; dzisiaj nie wiemy nie o losie ich, jak nie wiemy o losie tylu innych dzieł włoskich, rozsypanych na prowincji. Merlini budował i przeobrażał także liczne inne gmachy, posród których wymienić trzeba przede wszystkim Zamek królewski, gdzie pierwotne elementy barokowe, jak np. wieża od strony placu, harmonizują z nowymi, o charakterze neoklasycznym.

Neoklasyczna Warszawa swój blask zawdzięczała później innym jeszcze artystom, również Włochom, jak Enrico Marconi i Antonio Corazzi. Dokonał oni statecznych przemian stolicy nadając jej owo swoiste oblicze, jakie mają w oczach ci

JAN DEMBOWSKI

DO IGNACEGO POTOCKIEGO*)

Wolność i niepodległość! a jej naczelnicy
Słuchać muszą rozkazów oświeconej stolicy.

Wolność i niepodległość! a gdzie naród radzi,
Obce wojsko brzmi w surmy i warty prowadzi.

Wolność i niepodległość! a zamiast ich prawa
Król nieczym, naród szablon, i w wężach Warszawa.

Wolność i niepodległość! o lud z chat wygnany,
Wydartą dzieciom srawą żywi swe tyrany.

Wolność i niepodległość! przy szlachcie i wierz,
A szlachta w tej wolności batagami bierze.

Wolność i niepodległość! Polska ocalała!
Badażże taka wolność nigdy nie powstała!

*) Wiersz napisany 12 kwietnia 1794 r. w Warszawie, przed wybuchem powstania Kościuszkowskiego.

*) Dawnego — na rogu pl. Bankowego i Elektoralnej — red.

GIOVANNI MAVER

Niezapomniane przedstawienie

W teatrze Narodowym w Warszawie

W lecie 1926 r. szczęśliwie udało mi się zobaczyć doskonale wystawioną komedię Fredry „Słuby Panieński”. Moja znajomość Fredry była wówczas bardzo skromna i pociągała mnie nie tyle sama komedia, ile raczej nadzieja przedczenia paru nielicznych godzin w tej podniosłej atmosferze artystycznej, jaka w polskiej stolicy cechuje teatry dramatyczne.

Rzeczywistość przeszła o wiele moje oczekiwania. Nigdy jeszcze przedtem nie widziałem przedstawienia opracowanego z podobną maestrią, z taką miłością do sztuki, z wyrazistością tak plastyczną w szczegółach i całości. Nie tylko, że wszyscy aktorzy i reżyser przycięli się z całego serca wizji starego Fredry i nie tylko wizja ta nabierała jeszcze życia w każdym ich zdaniu, każdym poruszeniu — ale wydawało się także, że wszyscy, jak gdyby uwolnili się od wzorów, które naśladowali, zanurzyli się w wiczenie wartkim strumieniem życia i zatrzymali jego bieg nie pozabawiając go jednak w niczym jego dynamicznej wartości.

Wszystko tu było przestudiowane i wszystko spontaniczne. Każde słowo, każde poruszenie, gest każdy posiadał własną swoją wartość i bezustannie się wzbogacały dzięki akcentom i ruchom, które je poprzedzały. I lub po nich następowały. Poszczególne aktorki nadały swoim postaciom wyrazistość samodzielną, odrębną, ale dopiero z ich związku z innymi postaciami powstawały przenikające akordy.

I tak, nade wszystko para kuzynek: Aniela i Klara, obie kandydatki do małżeństwa; grały je, pierwszą Maria Majdrowiczówna — oczy czarne, wielkie, badawcze wpatrone w życie, włosy gładkie, z rozdziałem — drugą Helena Gronnicka — omglona, błękitliwa, przedsiębiorcza, po kobiecemu i sympatycznie agresywna. Nie były to dwie znane aktorki, lecz dwa idealne uosobienia dwu różnych charakterów polskiego dziewczęstwa — inteligentna, dobra, dzielna, żywa i poważna, nawet jeśli nie pozabawiona jakiegoś małego dziwactwa. Nigdy język polski tak mi się nie wydał słodki, tak bogaty muzycznie, tak szczeniowski. A kiedy następnie trzymając się za ręce wymawiały one uroczystą przysięgę, wolno skandując każdą sylabę, całą duszą przy tym pragnąc postanowienia zupełnie przeciwnego temu, które wypowiadały.

„Przyrzekam na kobiety stałość niewzruszoną.”

Nienawidzić rod męski, nigdy nie być żoną! — wówczas wydało mi się, że widzę przed sobą grupę plastyczną, pełną klasycznej harmonii, w której wszystkie te wdzięczne ruchy i słodka płynność słowa na chwilę się skrytylizowały, ażeby zaraz się roztopić w poruszeniu jeszcze wdzięczniejsze i mowę jeszcze miśszą. I tak w ruchach, jak i w dialogu, zawsze się rysował kontrast pomiędzy żywiołową Klarą i wstydliwą nieprzystępną Anielą (ażeby nadać wymowy swoim milczeniom, młoda Majdrowiczówna wzorowała się na sztuce największej aktorki polskiej, Heleny Modrzejewskiej, która w roli Anieli umiała wedle zgodnego świadectwa swoich współczesnych, w najwyższą sztukę przemienić właśnie owe wielkie mówienie milczeniem), tak że ta uroczą para nieustannie przeniknięta była dynamicznym rytmem, przywodzącym na myśl zgrabną żywość osiemnastowiecznych menuetów.

Cóż powiedzieć o innych parach? Z obu młodzieńców — przeznaczonych na mężów dla Klary i Anieli — lekkomyślnego, ale sympatycznego Gustawa (któremu Fredro z miłą złośliwością nadał imię słynnego bohatera mikiewickowskiego, do którego zresztą jest podobny nieczym dzień do nocy) uosobił Jerzy Leszczyński, sentymentalnego zaś i placzliwego Albina — Wojciech Brydziński. Dwaj artyści spośród najbardziej znanych i doświadczonych w teatrze

poiskim, dotując z delikatnym umiarem młodzieńcze zachwaleństwo oraz czułe westchnienia miłosne potrafił stworzyć mistrzowski duet, żywy w nutach dźwięcznych, sugestywny w przytłumionych.

Punkt jednak kulminacyjny, środkowy komedii stanowił nieprześcigniony Mieczysław Frenkiel, klasyczny „stryjaszek”. Radosci, tak mądry, hojny i pełen troskliwej dobroci dla swego niepoprawnego bratanika „Gucia”. Obeserwując poruszenia i akcenty Radosci — Frenkiel miało się zdawać, że się widzi wcielenie najdrowszych zalet Polski, jeszcze, jak w ciągu długich wieków swojej przeszłości, rozsądnie żyjącej na wsi. Przy rozwikłaniu spletanego meka obu młodych par pomagała mu pani domu, pani Dobrobrska (Felicja Pi-chur — Słiwiska), matka Anieli, obdarzona w wszystkich tradycyjnymi zaletami polskiej szlachcianki.

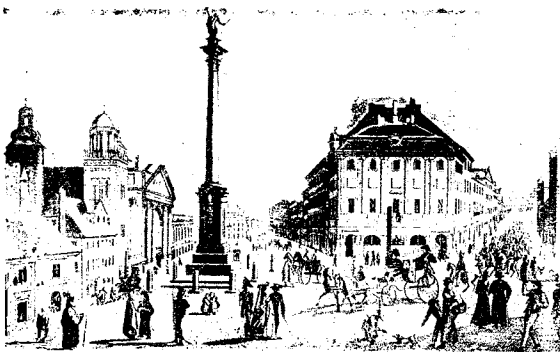
Wykonując posunięcia i figury tego kadryla ludzkiego życia — powszechnego i wicznego w swojej prostocie i złożoności — grupy się rozchodzili i tworzyli na nowo: raz matka z córką tworzyły parę, raz wuj

z bratanikiem; coraz to jednak więcej przybliżał się moment oczekiwany i upragniony kiedy zapanować miały, już bez przeszkód, na scenie i w sercach wszystkich widzów, dwa zapowiedziane, dwie prawdziwe pary: lekkoduch Gustaw i nieprzystępna Aniela, oraz nieśmiały Albin i przedsiębiorcza Klara. Nic zabrakło też nagrody dla tego, kto najbardziej na nią zasłużył:

„Dziękuję ci, stryjaszku, za twoje przestrogi!”

Często starałem się, wówczas i później, zrozumieć przyczynę tej nieprześcignionej doskonałości, wyszukać jakiś związek, który przeciwieństwu istnieć, pomiędzy sztuką Fredry a środowiskiem warszawskim, dla którego arcydzieło to wydawało się, choć wcale tak nie było, napisane nauyminie.

Fredro był Galicjaninem i pozostał nim w głębi przez całe swoje życie. Ale żaden z polskich pisarzy nie okazał się tak spontanicznie, prawdziwie wrogi wszelkiej egzaltacji romantycznej, jak Fredro i żaden z dużych miast polskich nie okazało się mniej romantyczne, niż Warszawa.



Plac Zankowy i kolumna Zygmunta według sztuchu z XIX w.

JÓZEF BUJNOWSKI

EUROPA NA SĄD

Stwardniały w pięć zacięniętą

zdużony tysiackroć i niemy —
i bunt płonący żagiew
gasną

w ziemi —
— wyrwiemy!
Prawdy oszustw podpalmy świat,
bo cóż nam więcej?
— sumienie na egzekucję!

Ścięte ręce.

Bo jakich ukazem praw
jakich rygiorem prawodawstw
wolno rozerwać pierś
i tępo istnienie mordować?

Europa, na sąd!

— wasze prawa

— wasze prawa

— wasze prawa

Nam traktatów

nie dyktować,

nie pisać;

stanowimy je sami od lat —

my kujemy je pierśią o bruk,

my rzeźbimy je czaszką o kamień —

choć świat

zapomniał

i Bóg!

Marnotrawnie krwawił się znamię —

tym szandarem

nad światem nie zwisać —

iść samopas nam

nie ramie w ramie

a imiona nasze — wichrom kołysać.

Cóż

zostało

prócz sławy niemiej

z krwawych dni, krwawych nocy w polu?

dla nas tu miejsca nie ma —

gnieć nam w makach czerwonych,

w kółkach

na sąd!

gniew

W konwencyjnych rachunkach pozycja
przekreślona ówkiem czerwonym —
sprawa śmierci i życia
skończona.

Kropka postawiona pod traktat.

Myłysz się Europo!

Sprawa śmierci i życia — „vacat”!

Bo za gardło kościastą ręką
chwycąc oszukane szkielety —
bo wyruszą z strzeleckich wędków
w oczodoły wprawiający bagnety —
bo uderzą odwetem w pierś
i odwetem przebijają serce —

bo

myśmy przecież pierwszy

za krew

sprzedani

w szachere!

Sprawa Polski — nie łatwa w historii,

pogrzebana postokroć a żyje —

już nieraz traktat dwoił i troił

i troiły się podcięte szyje —

i bluzgała połam krew —

i polami i rzekami płynęła —

bo narodowy nasz śpiew:

„nie zginęła”!

Nie zginęła — i woła — na sąd

i przedkłada rachunki cmentarzy:

— Proszę panów, oto macie wgląd,

świat rejestrem

historia nie zmaże!

W pięć zacięniętą gniew

zdużony tysiackroć i niemy

i bunt płonący żagiew

gaszoni w ziemi —

wyrwiemy

na sąd!

Wzniesiona na terenie piaszczystym, daleka od życiowych ośrodków dawnej Polski, mazowiecka Warszawa (ale i rodzina Fredry pochodziła z Mazowsza; czyżby związek pomiędzy poetą a miastem, które nie było jego, leżał w tym wspólnym pochodzeniu?) stworzyła się powoli sama. Nie usiłowała nigdy stanąć w pierwszym rzędzie i nie ona to wyszła na spotkanie Polsce, ale Polska, najpierw ze swymi sejmami, potem z królami, a wreszcie ze swym ludem, przyszła do niej. Aż do epoki Stanisława Augusta historia Krakowa, Lwowa, Wilna bardziej była interesująca i byskotliwa, niż historia Warszawy. Od Stanisława Augusta staje się ona niezaprzeczalnym centrum sztuki i kultury, ale tak jedną jak drugą zawsze cechuje wielki umiar, duch racjonalistyczny w myśli, klasycyzm w poezji. Kiedy cała Polskę zaleje fala romantyzmu, Warszawa przecieka w drugim rzędzie, ażeby z przemysłowym pozytywizmem Bolesława Prusa od razu i samorutnie powrócić do dawnego poziomu i dościsnąć do rzeczywistych sztuk; następnie jednak usunie się ponownie na bok przed arcyromantyczną „Młodą Polską”. Odnosi się wrażenie, że historia polskiej kultury nie przynajmniej Warszawy miejsca, jakie by się jej należało, a przecie — i to niejednokrotnie — stolica potrafiła dać pełną miarę swoich wartości.

Podobnie w dziedzinie historii politycznej. Warszawski realizm daleki był zawsze od oportunizmu. Nie przeczył gotowości do czynu i ofiar. Na dowód wystarczy przytoczyć powstanie listopadowe 1830 r., w którym, jak w insurekcji Kościuszkowej, wzięli udział z podziwu godną jednomyślnością wszyscy mieszkający, bez względu na różnicę klas. A po r. 1830 przyszło powstanie w r. 1863, obrona w 1939 wreszcie najtragiczniejsza i najchlubniejsza walka — w r. 1944.

Podobny, a w niektórych momentach niemal identyczny z dziejami Warszawy, był los Fredry. Spomniemy wielkich pisarzy polskich jest on bez wątpienia, obok Prusa, najspokojniejszy, najłagodniejszy i najbardziej oporny wzbijaniu się silnymi uderzeniami skrzydeł w błękity. Rozsądny, umiarkowany, dobroduszny, nie traci nigdy gruntu pod nogami. I dla tych właśnie swoich zalet przez długi czas był on krytykowany, zwalczany, nie zrozumiany.

Hlekoć jednak w kulturalnym życiu polskim brały górę bardziej realistyczna wizja życia, uczucie radości z pokonania niebezpieczeństw, małych czy wielkich, odsunięcie się od dążeń prometejskich, komedie Fredry nabierały, albo nabierały na nowo, aktualności. Ideątem ich jest zdrowy umiar i harmonia, oparte na doświadczeniu; ale z pewnością nie bierność, ani bezwład. Poetyzowanie rzeczywistości staje się dla Fredry równocześnie gloryfikacją woli, w tych granicach, w jakich możliwe jest ona przemienienie w czyn. Nie nadaremnie ów poeta, pozornie „filister”, amator życia spokojnego, był w swej młodości prawdziwym żołnierzem. Napoleońskie kampanie, w których sam wziął zaszczytny udział, pozostały dlań nie tylko najdroższym skarbem wspomnień, ale i źródłem niewyczerpanym wskazówek w ciągu całego życia. Żołnierz w spoczynku, to prawdziwy, ale żołnierz całą duszą, zawsze gotów do obrony honoru i chwwały ojczyzny.

W tak bogatej i barwnej historii Polski Warszawa i Fredro zdobyli swoje pozycje w milczeniu, przy wielkiej cierpliwości, ale i z wielką pewnością siebie. Nie ich nie mogło nigdy popchnąć do próbowania walki z wiatrakami; ani też jednak do biernego ulegania losowi. Z dużą równowagą pomiędzy siłami serca i rozumu przeszli — jedna i druga — swoją drogę i jeszcze nią idą. Odszerebiła się w nich i z nich promieniując obraz życia zawsze świadomego siebie, gotowego do wszelkich uniżeń, dalekiego od jakiegokolwiek formy załamania się.

W tym właśnie umiarze, zmyśle rzeczywistości, wytrwałości, stałości i radości życia — leży urok najpiękniejszej komedii Fredry, „Słubów panieński”, jak i urok Warszawy. I dzisiaj silniej niż kiedykolwiek, pociągają nas jej ulice, place, parki; jej ludność, jej kultura i jej teatry. Spod uroku tego nie myślimy, a gdybyśmy nawet myśleli, to i tak nie moglibyśmy się wyzwolić, jako że wypływa on nie z kapryśnego postanowienia, jakim są „Słuby panieńskie”, ale z owej tajemniczej siły, którą Aniela podbija Gustawa, a Warszawa tych, którzy ją zwiedzają i która w podtęlu komedii nazywa się: MAGNETYZM SERCA.

Tłum. — Halina Waga

Nowe wydawnictwa

W sprzedaży znajdują się następujące nowe wydawnictwa Oddziału Prop. i Kult. Dłwa A.P.W.

1. Monte Cassino — Album rysunków Zygmunta Turkiewicz. Cena 220 lirów.
2. Azja i Afryka — Antologia poezji polskiej na Środkowym Wschodzie. Cena 100 lirów.
3. Wiktor Zyrzyński — W laboratorium radości życia (Zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojakowego). Cena 35 lirów.

LONDYN — WARSZAWA — MOSKWA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Wyjazd premiera Churchilla w towarzysze min. Edena i marsz. siru Alana Brooke'a do Moskwy stanowi logiczną konsekwencję ostatniego przemówienia szefa rządu brytyjskiego w Izbie Gmin. Stwierdził on wówczas, że obecna faza wojny i jej aspekty strategiczne oraz polityczne wymagają spotkania przed końcem roku przewodów trzech wielkich mocarstw. Do zrealizacji się wielkiej trójki jeszcze nie doszło — przypuszczać należy, że prezydent Roosevelt nie może opuścić Stanów Zjednoczonych w przededniu wyborów — lecz obecny zjazd moskiewski stanowi zapewne wstęp do spotkania się w trzech.

Premier Churchill, który niedawno naradzał się z prezydentem Rooseveltem, obecnie spotkał się z marsz. Stalinem. Obie te rozmowy we dwóch dość wyraźnie określają pozycję W. Brytanii, która w obecnej konfiguracji światowej znalazła się równie między St. Zjednoczonymi i Rosją sowiecką. W publicystyce angielskiej toczy się ciekawa dyskusja na temat siły, którą reprezentuje Imperium Brytyjskie między dwoma żywiołami dynamicznymi, jakimi są St. Zjednoczone i Związek sowiecki. Niektórzy pisarze angielscy dochodzą do wniosków pesymistycznych twierdząc, że polityce Imperium grozi z tego tytułu poważne niebezpieczeństwo, gdyż nie reprezentuje ono dostatecznej przynajmniej, jak na czasy obecne. Inni uważają, że Imperium może dużo zyskać na stosowaniu polityki rozjemczy i przeważającego szale pośrednika między Rosją a Ameryką i że obecne jego położenie przy umiejętnej taktyce nie powinno budzić obaw.

Równie rok temu marsz. Smuts wystąpił ze słynnym przemówieniem, w którym przedstawił niebezpieczeństwa grożące Imperium, położonemu między dwoma „kolosami”, zalecał szukanie dla polityki brytyjskiej nowego oparcia, którego winna mu dostarczyć Europa. Marsz. Smuts wyobrażał sobie, że „zachodnie demokracje” europejskie wobec ruin naszego kontynentu, słabości Francji itd. szukają oparcia w Londynie.

Wiemy, że na Londyn były zwrócone oczy nie tylko zachodnie, ale całej Europy, kończącej się na wschodnich granicach Polski, i to w tym czasie, kiedy fala totalizmu w r. 1940 zalała kontynent i kiedy stolica W. Brytanii była jedynym bastionem wolności na naszej półkuli. Nigdy też autorytet brytyjski na kontynencie nie był tak wielki, jak w tym okresie pozornej słabości Anglii. Polityka brytyjska przechodziła od tego czasu różne fazy, ale znowu niedawne wysunięcie wobec Włoch przez premiera Churchilla siedmiu warunków budowy państwa wolnego wznieśli nadzieje, że warunki te znajdą zastosowanie nie tylko we Włoszech, ale w całej Europie, kończącej się nadal na wschodnich granicach Polski.

Wszystko jednak będzie zależało od tego, jak dalece, zarówno pod względem geograficznym jak i rzeczowym, W. Brytania będzie skłonna bronić swoich poglądów i swojej ideologii w okresie organizacji pokoju europejskiego. Czy niektóre z narodów europejskich skazane będą wbrew swej woli na przyjmowanie innego wyznacznika wiary? Czy kontynent będzie podzielony na państwa kierujące się siedmioma punktami Churchilla i na kraje podane in nym wzorcom? W pierwszym wypadku Anglia będzie miała całą Europę za sobą, w drugim stanie wobec Europy przepołowionej, która nie tylko nie da jej poparcia, ale w części swej zachodniej szukać będzie nieustannie pomocy w Londynie. Europa taka będzie obciążeniem, a nie wzmacnieniem. Anglia musi zdecydować, czy chce silną Europę, tak jak Europa chce silnej Anglii.

Dalsza wojna z Niemcami

Według zgodnej opinii prasy angielskiej dwie sprawy są tematem obrad moskiewskich: obecna sytuacja strategiczna, oraz przyszłość polityczna Europy. Wiemy z przemówienia premiera Churchilla, że Anglia chciałaby jak najprędzej zakończyć wojnę z Niemcami doprowadzając ich w możliwie krótkim czasie do kapitulacji. Z drugiej strony opór niemiecki wzrósł ostatnio na wszystkich frontach. Znamy dziennikarz angielski Moorhead w oparciu o informacje uzyskane w kwatrze głównej gen. Eisenhowera zapowiedział, że sprzymierzonych czeka nowa kampania zimowa. Stwierdził on, że trzy były przyczyny zastrzeżenia się pochodu sprzymierzonych z zachodnich granic Niemiec: 1. brak bliskich portów, 2. wznowiony, fanatyczny opór Niemców, 3. zła pogoda. Należy stwierdzić, że gen. Eisenhower nie zastępuje akcji zaczepnej, Niemcy spodziewają się nawet

wznowienia przez niego ofensywy generalnej. Na razie wszelkie ciężkie walki toczą się wciąż na tych samych nielicznych odcinkach o wyspy przy ujściu Skaldy, między odnogami Renu Lek i Wall, o A-kwizgran, Metz i Wogezy.

Uznanie wszakże, że wojna być może nie zakończy się w r. 1944 i że konieczna będzie nowa kampania zimowa — wynika to również z sytuacji na froncie włoskim — skłania sprzymierzonych do dalszego łączenia układania planów strategicznych na zachodzie i wschodzie Niemiec. Wyjazd brytyjskiego szefa sztabu imperialnego do Moskwy jest wyrazem tej potrzeby, która oczywiście będzie miała odbicie na terenie politycznym.

Na wschodzie cały środkowy odcinek frontu rosyjski — niemieckiego na całej niemal przestrzeni Polski od Karpát aż po Prusy Wschodnie zniuruchomił całkowicie mniej więcej wzdłuż projektowanego pierwszej linii demarkacyjnej Ribbentrop — Mołotow z r. 1939, to znaczy wzdłuż Wisły, Walki, a raczej znaczne przesunięcia tego frontu widoczne są jedynie na północnym i południowym jego skrzydle: w państwach bałtyckich, ściśle mówiąc na Litwie, oraz na Węgrzech i na Bałkanach.

Gen. Dittmar, wojskowy komentator radia niemieckiego, w dłuższym wywodzie uzasadnił, że Niemcy same po wycofaniu się z Finlandii z wojny postanowiły opuścić



Mapka terenu walk w Holandii

państwa bałtyckie celem skrócenia frontu. Można by przyjąć też, zwłaszcza że da się ona logicznie uzasadnić. Gen. Dittmar skorzystał wszakże z tej sposobności, by wykaazać, jak dalece udat się Niemcom ich manewr odwrotny aż z Estonii, jak skutecznie bronili przed Rosjanami do rejsa i jak obecnie umiejętnie wstrzymują natarcie sowieckie na odcinku Sawle — Rosienie w kierunku na Kłajpedę nie pozwalając się odejść ani okrzężyć. Z tym wszystkim jednak faktem jest, że wojska sowieckie znajdują się nibyżem na granicy Prus Wschodnich również od strony Kłajpedy i Tyłży.

Znacznie mniej przekonujący były wywody gen. Dittmara na temat ofensywy sowieckiej na Węgry i Jugosławie. Niemcom udało się, co prawda, jak dotychczas, powstrzymać natarcie sowieckie na przejściach w polskich Karpatach, ale ofensywa armii sowieckiej w kierunku na Budapeszt i na Belgrad od strony Rumunii rozwija się dla nich mniej pomyślnie. Wojska sowieckie osiągnęły Ciszę, zajęły na Węgrzech Cluj i Szegedyn oraz stoją pod Debręcynem. Dzięki zaś umowom z marsz. Tito zbliżają się do Belgradu. Gen. Dittmar sądzi, że wojska sowieckie będą chciały dojść do Adriatyku, by zamknąć od południa pierścienie dookoła Niemiec. Stwierdza on, że zatrzymanie wojsk sowieckich na tym odcinku będzie „trudnym zadaniem” dla Wehrmachtu. Gen. Dittmar nie martwi się tym zbytnio pocieszając się argumentami politycznymi:

„Szczególnie zagrożenia polityczne — mówi — zarysowują się na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego, a w zasięgu lotniczym Kanalu Sueskiego, b.d.ą musi być obecnie rozważane bez neutralizujących następstw niemieckiej współpracy”. Widocznie Niemcy spodziewają się, że ich komplikacje się z tych terenów wywoła komplikacje polityczne między sojusznikami, które wynagrodzić poruczenie przez nich brzegów Morza Egejskiego, co gen. Dittmar zapowiedział otwarcie w swym przemówieniu.

Sprawa integralności Grecji

Odwrotność niemieckiemu towarzyszą desanty, sprzymierzonych w Grecji i Albanii. Co prawda brak szczegółowych danych o nowych tych operacjach. Wiadomo jednak,

że cały już niemal Peloponez jak i różne wyspy greckie są w rękach sojuszników, podobnie zresztą, jak niektóre punkty w Albanii. Należy spodziewać się, że wyzwolenie Grecji jest już tylko kwestią czasu i że odbędzie się ono bez większych walk. Wzmocni to poważnie pozycję mocarstw angielskich a w szczególności Anglii nad Morzem Śródziemnym.

Interesujące jest natomiast pytanie, jaki obszar Grecji zostanie wyzwolony. Czy odzyska ona wolność w granicach przedwojennych i legalnych, czy też w tych, jakie Grekom narzucili w czasie wojny ich wrogowie — Bułgarzy w oparciu o Niemców. W tym ostatnim wypadku Grecja została by nadal odcięta na lądzie od Turcji. Grecka część Tracji pozostałaby w rękach Bułgarów, która związana z Rosją zachowywałaby wylot na Morze Egejskie i okazywałaby Cieszniny od strony europejskiej. Otóż Bułgarzy — których armia podporządkowana została sowieckiemu marszałkowi Tołbukinowi — podtrzymują nadal swe pretensje do Tracji spodziewając się poparcia tym razem Sowietów.

Sprawa ta wywołała bardzo silną reakcję ze strony p. Edena, który zażądał wycofania się Bułgarów za dawne ich granice. Stanowisko p. Edena poparł Cordell Hull, który wyraził ubolewanie, że Bułgarzy nie wycofalił się swych wojsk z Grecji i Jugosławii. Współpracownik radia brytyjskiego w jednej ze swych audycji wyraźnie oświadczył, że „rząd brytyjski okaze się nieustępliwym, jeśli chodzi o opuszczenie terenów greckich przez Bułgarów”.

Pretensje Bułgarów wywołały żywe niezadowolenie nie tylko w Grecji ale i w Turcji, zwłaszcza że były one związane z planem utworzenia wolnej Macedonii ze stolicą w greckich Salonikach, przy czym nowe to państwo weszłoby do „federacji jugosłowiańsko-bułgarskiej”, obejmującej teren, na których dziś największą władzę posiadają marszałkowie Tito i Tołbukin.

Tureckie pismo „Ulus” stwierdzało wyraźnie: „Jeżeli Saloniki jako stolica Macedonii (czy marsz. Tito pragnie, by była ona silna) miałyby stać się jednocześnie stolicą południowej Sławii, wówczas nie ulega wątpliwości, że zachodnia Tracja zostałaby wcielona do bułgarskiej części państwa słowiańskiego. W ten sposób Bułgaria zdobyłaby to, czego nigdy nie osiągnęłaby z pomocą zwycięskich Niemiec i to lekceważąc wolę tych państw, które Bułgarię pokonały. Taki stan rzeczy jest nie do pomyślenia z punktu widzenia rozsądku i logiki”.

Niestety jesteśmy świadkami wielu rzeczy sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem i logiką, a Grecja nie jest jedynym państwem sprzymierzonym, któremu w wyniku zwycięstwa aliantów grozi rozbiór...

Na razie wszelkie zdecydowanie stanowisko W. Brytanii, i St. Zjednoczonych w sprawie uzanowania przedwojennych granic Grecji odniósł natychmiast pożądany skutek. Bułgaria przyjęła warunki rozejmu, które dopiero obecnie zostały ustalone przez sojuszników i podane je do wiadomości. W ciągu 15 dni wojska bułgarskie — podporządkowane marsz. Tołbukinowi — będą musiały wycofać się z Tracji. Grecja odzyska wspólną granicę z Turcją.

Mimo to ostatnie zmiany na terenie Bałkanów wysunęły szereg zagadnień politycznych o kapitalnej doniosłości. Szczególnie — sprawy Jugosławii, jej spójności i prawdziwej nieczystości — wysuwają się na plan pierwszy. Nie jest również jasne, jaki jest charakter i rozmiar okupacji sowieckiej w tym kraju. Marsz. Tito przybył do Moskwy i wnieśli udział w naradach ze Stalinem i Churchilliem. Nie wiadomo, czy działacze tam będzie jako przedstawiciel rządu Subasica, czy też samodzielnie. Na razie przemiany na Bałkanach wywołały w Turcji, w Grecji i we Włoszech dążenia do zbliżenia się.

Sprawy polskie

O ile sprawy greckie dotyczyły się tymczasowego, choć pomyślnego dla Greków rozwiązania w przedmiotu konferencji moskiewskiej, zagrożenia polskie dopiero czekają na rozwiązanie, w innych niestety warunkach. Podróż p. Churchilla do Moskwy towarzyszyły liczne głosy prasy angielskiej, z których mogło wynikać, iż opinia Londynu widzi już kres ustępstw Polski wobec Rosji i że Sowiety w mniemanu angielskim przeciągnęły strunę w manifestowaniu na każdym kroku wrogość wobec Polski.

Obok pism występujących zawsze w na-

szej obronie odezwały się tym razem również dzienniki dotychczas mało niechętne z wyraźnymi ostrzeżeniami pod adresem Rosji. „The Observer” pisał m. in.:

„Rosjanie pragną mieć Polskę przyjaźnią wobec nich usposobioną, ale jednocześnie nie czynią niczego, by przyjaźń tę pozyskać. Można przewidzieć, że jeżeli ten stan rzeczy potrwa, Polska nie uzyska pokoju, a Rosja bezpiecznej granicy. Odrzucenie i nieszczęśliwy zatarg mógłby przybrać wówczas na wschodzie rozmiary nie do pomyślenia”.

„The Tribune”, organ wybitnie filosooficki, zaznaczał delikatnie m. in.: „Polityka prowadzona przez „Polski Komitet Wyzwolenia” i przez część prasy sowieckiej w czasie powstania w Warszawie nie była szczęśliwa”.

„The New Statesman and Nation”, na którego łamach ukazało się tyle niechętnych pod naszym adresem uwag, tym razem stwierdza:

„Jeżeli nie znajdziemy rozwiązania zagadnienia polskiego, możliwego do uczciwego przyjęcia, trudno byłoby wyobrazić sobie utrzymanie przyjaźni między Związkiem Sowieckim a Zachodem. A bez tej przyjaźni, jak wiadomo, możliwość uniknięcia trzeciej wojny światowej będzie dość trudna. Zagadnienie polskie trzuci wielki cień na świat zwycięstwa”.

Prasa katolicka Anglii jak zwykle żywo wzięła naszą stronę, ale również wpływowy organ kościoła angielskiego „Church Times” poświęcił nam uwagi pełne zrozumienia pisząc między innymi:

„Rosjanie nie uważają za przyjaciół — przyjaciół W. Brytanii, jak np. Polscy, a także nie uważają za wrogów — wrogów W. Brytanii, jak np. Japonii. Wyraźnym świadectwem braku współpracy politycznej jest fakt, że Rosja nie pozwoliła na użycie swoich lotnisk przez lotnictwo sojuszników dostarczające zaopatrzenie bohaterom obrocom Warszawy. Rosjanie nie powinni dowieść się, jeżeli sprzymierzeni nie uznają niektórych wyników polityki rosyjskiej w Europie wschodniej”.

Obrona Warszawy i niezdolne walki żołnierza polskiego na wszystkich frontach europejskich przyczyniły się do tej zmiany tonu. Cóż bowiem wykazała przeszło dwumiesięczna walka Warszawy:

1. Istnienie w kraju silnej i świetnie zorganizowanej Armii Krajowej, stojącej na usługach władz państwowych, działających w oparciu o konstytucję z r. 1935. Zaden podbit kraj nie potrafił wystawić takiej armii.

2. Wolę narodu zachowania pełnej niepodległości w stosunku do wszystkich sąsiadów i na wszystkich swoich ziemiach, o czym świadczyła akcja Armii Krajowej w Wilnie, we Lwowie, na Wolińcu, w Nowogródku itd.

3. Zdecydowany opór zarówno wobec wszelkich prób germanizacji, jak i sowietyzacji, czy rusyfikacji Polski. Polska uważa się nadal za część Europy zachodniej, a nie wschodniej.

4. Kategoryczne odcięcie się od „Komitetu Wyzwolenia”, który nie posiada żadnych istotnych kół w społeczeństwie, „rządu” w oparciu jedynie o bagnoty sowieckie i uważany jest za organizację marionetkową i zdrańcza.

5. Wolę walki z każdym wrogiem zmierzającym do zniszczenia niepodległości Polski.

Słowem, okazało się raz jeszcze, że Polska nie jest żadną fikcją i mgławicą polityczną o nieustalonych granicach i pojęciach, a jej słuszne aspiracje nie są wyrazem „grupy emigrantów”, ale że stanowi ona jeden z najsilniej reagujących czynników w politycznej w Europie, którego lekceważenie i pomijanie nie można, jeżeli chce się budować pokój w oparciu właśnie o realia. Ci więc „emigranci”, którzy twardo stoją na gruncie obrony wszystkich i nie uszczuplonych praw Polski są — jak się okazuje — najlepszymi wyrazicielami myśli i woli Kraju, który na żadne kompromisy iść nie chce.

Powstanie warszawskie, które ujawniło przed opinią światową wszystkie te fakty, przerwało w końcu konspirację milczenia i zmusiło do zrobienia „czegoś” w sprawie polskiej. Taki jest rezultat bezprzeglądowego wysiłku żołnierza polskiego. Ale obecnie znowu głos odzyskuje politycy.

Na zjazd w Moskwie został zaproszony premier Mikołajczyk, który przybył tam w towarzystwie kilku ministrów. Zjawili tam również witali z wielkimi honorami przez władze sowieckie, delegaci „Ko-

(Dokończenie art. na str. 12)

Dalszy ciąg dyskusji w Izbie Gmin po mowie Churchilla: (wg. angielskiego tekstu P.A.T.)

Artur Greenwood (laburzysta — przewodca opozycji):

„Bez wahania dostosowaliśmy się do rady premiera odnośnie Polski. Jak premier zaważył, istnieją różnice, zdań pomiędzy wielkimi i małymi państwami. Mogłaby być przedsięwzięta akcja, która niekorzystnie dla nas mogłaby uważać za niefortunną. Jesteśmy związani z Polską szczególnymi więzami. Gdy nastąpił najazd na jej ziemi, krótko trwała zwłoka, zanim W. Brytania zadeklarowała swą wolę staniać u jej boku. Jesteśmy na zawsze zobowiązani za wielką rolę odegraną przez Związek Sowiecki w obecnej wojnie. Zdajemy sobie sprawę z roli, jaką Związek musi odegrać w przyszłości. Jeżeli W. Brytania w jakikolwiek sposób może przyczynić się do usunięcia wyłomów, jakie mogłyby powstać, różnie zdani, jakie mogłyby być wynikiem, nieporozumień, jakie mogłyby się zdarzyć — sądzę — że naszym obowiązkiem jest to uczynić i jestem zupełnie zadowolony, że w ostatnich tygodniach W. Brytania odegrała tak znaczącą rolę w wysiłkach na rzecz ocalenia polskiej stolicy.

Kpt. Alan Graham (konserwatysta):

„Oba bohaterkie narody, Rosjanie i Polacy, są naszymi sprzymierzeńcami i oba, podobnie jak my, zobowiązały się publicznie uznawać prawa małych narodów do niepodległości i rzeczywistego prawa samostanowienia. Lecz wszystko zależy od nas, Brytyjczyków. Nie możemy zrezygnować z naszej pozycji — obrocy europejskiej cywilizacji. Mamy obowiązek zrozumienia, że to właśnie w imię europejskiej wspólnoty powinniśmy być rozwiązani problem rosyjsko-polski, ponieważ nie może być w przyszłej Europie pokoju, jeżeli prawdziwa niepodległość Polski miałaby zostać poświęcona, lub bezpośrednio zniszczona przez Rosję. Najlepszym zabezpieczeniem Rosji przeciwko agresji w przyszłości ze strony Niemiec lub Zachodu, jest przyjaźń i współpraca z Polską. Sam Stalin oświadczył, że pragnie takiej Polski i należałoby gorąco oczekiwać, by ci, którzy przeprowadzają jego politykę, wprowadzili to w życie. Rosja może domagać się tak przyjaźni i współpracy z Polską tylko w tym wypadku, jeśli powstrzyma się od mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski i jeżeli nie będzie gwałcił narodowych uczuć wszystkich prawdziwych Polaków przez narzucanie im władzy zupełnie niereprezentatywnego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie i użyczenie mu całej rosyjskiej potęgi.

„Zapewne naczynniczy i bohaterowie obywatelscy Warszawy zasłużyli na wdzięczność i poważanie wszystkich sprzymierzonych za ich walkę przeciwko Niemcom w ostatnich parę miesięcy. Czyż tacy bohaterowie nie zasłużyli sobie przed wszystkimi innymi ludźmi na to, by być panami swego własnego losu? Co świat pomyśli o Rosji, jeżeli by po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Warszawy, tacy bohaterowie i obrocy miasta zostali unicestwieni w obozach koncentracyjnych lub deportowani do Kałuzi, czy na Sybir? Rosja ma obecnie największą okazję ze wszystkich, jakie kiedykolwiek posiadała, rozwiązania sprawy polskiej i zapewnienia sobie po swych czasach polskiej przyjaźni, przez dopomożenie Polakom w przeprowadzeniu ich jedynych prawdziwych wrogów — Niemców i przez powstrzymanie się od interwencji w wewnętrzne sprawy polskie.

„90% Polaków w W. Brytanii i w Polsce wie, że przyjaźń Rosji jest nieodzowna dla ich własnego bezpieczeństwa i Polacy są przygotowani do współdziałania w tym kierunku. Lecz z drugiej strony Rosja musi pozostawić Polakom swobodę decydowania o ich własnej przyszłości.

„Chciałabym rzec Jego Królewskiej Mości zasługując na wdzięczność całego świata za nieustanne wysiłki znalezienia rozwiązania tego problemu, sądzę, że my wszyscy musimy mieć się na baczności, by nie obrazić polskiego narodu w Polsce przez wybranie tego czy innego polskiego polityka. Jeżeli los chce, by Polska wykopła sobie swój polityczny grób, pozwólmy jej w każdym razie, by wykopła go sobie sama. Lecz nie dopuścimy, by kiedykolwiek można było powiedzieć, że myśmy przyłożyli swą rękę do łopaty kopiącej grób. Pozwólmy również Polakom wykazać jej własną zdolność do osiągnięcia porozumienia z Rosją.

„Nie możemy jednak uchylić się od naszego obowiązku, jako narodu zachodniego i chrześcijańskiego, zdecydowanego bronić ideałów, za które walczyliśmy. Wśród tych ideałów znajduje się prawo małych narodów do niepodległości i brawo, podobnie jak w ustroju demokratycznym obostajemy za prawem każdej jednostki, choćby najmniejszej i najskromniejszej.”

Man der (laburzysta):

„Jestem przekonany, że rząd robi wszyst-

DOKUMENTY

ko, co leży w jego mocy, by rozwikłać ten ciężki problem i by doprowadzić trzech wielkich sprzymierzeńców do większej jednolitości. Sytuacja bez wątpienia poprawiła się i wydaje się, że istnieją rzeczywiste widoki osiągnięcia porozumienia na podstawie wysiłków przez Churchilla za zgodą. Sądzę, że najnamyślniej postawą w stosunku do Polski jest zaufać mądrej, cierpliwiej, dalekowzrocznej i godnej męża stanu postawie Mikołajczyka, zaufać jego współpracy z trzema wielkimi sprzymierzeńcami dla doprowadzenia do owoonych rezultatów wysiłków, które są czynione, dla rozwiązania problemu polskiego”.

Lord Dunglass (konserwatysta):

„We wszystkich tych pomyślnych perspektywach jest jedna prawdziwie czarna plama, a to — stosunki polityczne pomiędzy Rosją i Polską. Churchill zwrócił się ze szczególnym apelem, by wykazywać powściągliwość i oczywicie będę się starał zastosować do tego apelu, lecz mam znaczne doświadczenie z Churchilliem. Gdy bardzo mu zależało na jakiejś sprawie, wtedy starał się wykazywać powściągliwość i odpowiedzialność, i to musi być moim celem dzisiejszego popołudnia.

„Sprawy pomiędzy Polską i Rosją nie mogą być pozostawione dla rozwiązania pomiędzy dwoma tymi krajami bez interwencji z naszej strony. Ta sprawa musi być rozpatrywana nie tylko z szerszego punktu widzenia — organizacji pokoju światowego jako że zapewne będzie ona próbą stosunków pomiędzy wielką potęgą i słabszym sąsiadem. Nie tylko dlatego, że my jesteśmy sprzymierzeńcami każdej ze stron, lecz także i dlatego, że przez zawarty traktat przyjaźni nie tylko określone prawne, ale i moralne zobowiązania w stosunku do Polski. Mamy w zwyczaju honorować nasze traktaty.

„Pamiętam bardzo dobrze ten dzień, gdy rząd Chamberlaina udzielił Polsce gwarancji. W tym czasie rządy brytyjski i polski myślały kategoriami granic, które istniały w lecie 1939 r. W tym czasie granice te nie były zachępane przez jakąkolwiek inną potęgę poza Niemcami. Byłem szczęśliwym słysząc, że Churchill wspomina o tym punkcie, ponieważ powinniśmy wyjaśnić sobie samym, że gdyby nie decyzja Rosji uczestniczenia w rozporządzeniu, kraj nasz wypełniałby zawarty traktat stosownie do jego ducha i litery. Ale również jesteśmy zobowiązani w stosunku do Polaków, by liżyć się z sytuacją taką, jak się ona dziś przedstawia. Sytuacja ta zmienia się zaśnadczo. Nikt w 1939 r. nie mógł przewidzieć tych zmian. Nikt nie mógł przewidzieć, że Rosja z potencjalnego wroga stanie się naszym sprzymierzeńcem. Nikt nie mógł przewidzieć zdumiewającego wysiłku wojskowego Rosji, bez którego — sądzę, że tak się to ocenia — Polska mogłaby nigdy nie zostać wyzwoloną, tak bowiem wielką okazała się siła niemiecka. Nikt nie mógł przewidzieć, że Rosja po swych zdumiewających czynach bojowych zdecydowała się na aneksję polskiego terytorium w celu ustanowienia możliwie najlepszych granic strategicznych pomiędzy nią a narodem niemieckim. Tych spraw wówczas się nie widziało. Przed parlamentem, który ponosi rzeczywistą odpowiedzialność w tej sprawie, powstaje pytanie: Czy w tych nowych warunkach możemy wypełnić naszą gwarancję w stosunku do Polski?

„Musimy być zupełnie szczerzy i ocenić sytuację tak, jak ją dziś widzimy. Sądzę, że powinniśmy powiedzieć Polakom, że nie możemy mieć nadziei odbudowania dawnej Polski i że naszym celem obecnie musi być odbudowa Polski niezależnej i wolnej; o ile to możliwe równoważyć Polsce z 1939 r., pod względem terytorium, zasobów ekonomicznych i stosunków wewnętrznych.

„Jeżeli to jest naszym zamiarem i celem, z kolei powstaje nieuniknione pytanie: czy wobec postawy Rosji możemy uczynić to niezależnie i wolność rzeczywistą? Jeśli po kilcyse Niemiec ten dzielnicy lecz nieszczęśliwy naród nadal pozostanie w niewoli i jeżeli kraj nasz nie potrafi, uczynić wszystkiego, co uczynić powinniśmy, względnie moglibyśmy uczynić, wtedy nasze stosunki narodowe będące obciążone na całe pokolenia.

„Wierzę, że może się nam ta sprawa udać, lecz powodzenie może się nam wywinąć, jeżeli nie uprzytomnimy sobie dwu rzeczy:

1. „Rosja posługuje się kodeksem etycznym, który w żadnym wypadku nie jest taki sam, jak nasz własny. Nie obwiniam za to Rosjan. Znajdują się oni na innym punkcie historycznego rozwoju. Proszę pozwolić mi dać przykład: Gdy rząd brytyj-

ski mówi: „Obiecujemy odbudować niezależną i wolną Polskę” — to znaczy, że zamierza on uczynić to w dostojnym znaczeniu wypowiedzianych słów, lecz gdy Stalin mówi: „Odbudujemy waszą niepodległość i wolność” to mówi on w imieniu rządu rosyjskiego do Polaków: „Tak, możemy cię nie wolność, lecz Rosja wybierze wam rząd i w rezultacie będzie kontrolować waszą politykę”.

„To są dwie różne interpretacje i my musimy je widzieć. Jeśli nie spojrzymy prawdzie w oczy, że w obecnym momencie nasz kraj i Rosja działają na dwa różnych płaszczyznach, powstanie przed nami perspektywa stałych politycznych trudności, rozczarowań i nieporozumień.

„Sądzę, że musimy zrozumieć, że w naszych politycznych negocjacjach z Rosją nie możemy unikać stawiania sprawy jasno. Na to i tylko na to będą Rosjanie reagować.

„Rosja miała układ z Polską, który uznawał status quo z roku 1939. Lecz niezależnie od tego nie opierałem swego wyводу na podstawie tej czy innej granicy pomiędzy Rosją i Polską, lecz na podstawie Karty Atlantycznej, która stawia postulat, że kwestie graniczne powinny być rozwiązywane drogą negocjacji, a nie przez siłę. Dalszą ilustracją stosunków, a będę mówił o tym krótko, ponieważ są to rzeczy namacalne, jest fakt, że na wiele miesięcy przedtem, w zimie ubiegłego roku, w oficjalnej prasie moskiewskiej ukazała się wiadomość o utworzeniu Związku Polskich Patriotów — Komitetu Polaków dla strzeżenia polskich interesów, stało się przeto rzeczą zupełnie jasną już w tym czasie dla każdego, kto rozumie rosyjską technikę postępowania, że był to pierwszy krok w kierunku podkopania autorytetu rządu polskiego w Londynie. Wiele tygodni minęło, zanim nasz minister spraw zagranicznych zupełnie szczerze ponowił w tej Izbie nasze zapewnienie o poparcu dla rządu polskiego. Od tego czasu rząd sowiecki wiedział, że zarówno my jak i Amerykanie uznajemy rząd polski w Londynie, lecz odmówił wysłuchania naszych przedłożeń.

„Mechanizm współpracy zaczął się psuć.

„Proszę pozwolić mi zająć się sprawą ostatnią. Myślę o poparciu udzielonym Polakom w Warszawie. Nie znamy faktów, lecz sądzę, że jest to warte uwagi, że rząd rosyjski bardzo mało liczył się z poufnościami przedłożeniami, a dopiero wtedy, gdy wzburzenie opinii publicznej osiągnęło zarówno w naszym kraju, jak i w Ameryce, taki stan, że nie było rzeczą możliwą go stłumić, Rosjanie zaczęli nam zwać i posyłać zaopatrzenie.

„Oto dyalekt, który, wydaje mi się, staje przed nami w całej tej serii wypadków. Albo te incydenty są serią kolejnych odmów ze strony jednego wielkiego sprzymierzeńca w stosunku do drugiego, albo też jest to rzeczywiste nieporozumienie. Chciałbym w to uwierzyć, lecz jeśli tak jest, to wskazuje to, że coś się popsuło w mechanizmie współpracy, który musi być naprawiony natychmiast. Przeto, by nie było nadal wątpliwości, proponowałbym, że powinniśmy wystąpić zdecydowanie i natychmiast do rządu sowieckiego w sprawie „stosunków angielsko — polsko — rosyjskich i uczynić to w sposób następujący:

„Powinniśmy oświadczyć rządowi rosyjskiemu, że W. Brytania ma prawne i moralne zobowiązania w stosunku do Polski powojennej, zabezpieczenia jej niepodległości i wolności i że oczekujemy na rosyjską współpracę w dziele urzeczywistnienia tej niepodległości i wolności.

„Po drugie, że mamy prawo oczekiwać na rosyjską współpracę powołując się na porozumienie trzech, pod którym W. Brytania i Związek Sowiecki wspólnie położyły swe podpisy:

„1) Karta Atlantyczna, której trzy pierwsze punkty ściśle odnoszą się do takiej właśnie sprawy i utrzymują zasady negocjacji, jako zaprzeczenie zasady używania siły.

„2) Istnieje umowa moskiewska, w której zarówno rząd sowiecki jak i my sami zobowiązaliśmy się do współpracy i konsultacji wzajemnej w każdym stadium ważnego rodzaju politycznej dyskusji.

„W końcu i szczególnie powołując się na dwudziestoletni traktat porozumienia pomiędzy rządem sowieckim i nami, który został podpisany w 1924 r. Spodziewamy się uczynić go podstawą stałych dobrych stosunków angielsko-rosyjskich, lecz nigdy nie uczynimy zeń trwałego narzędzia do dobrych stosunków, jeśli którakolwiek ze stron będzie patrzeć przez palce na to, co uważa

za naruszenie układu przez drugą stronę. O wiele lepiej dla nas jest zwrócić uwagę rządu sowieckiego i powiedzieć w czym jego postępowanie uważamy za złe. Tylko na podstawie tego rodzaju otwartego stawiania sprawy jest możliwe osiągnięcie dobrych stosunków. Kraj nasz posiada wielkie zasoby dobrej woli w stosunku do Rosji, lecz sądzę, że najlepiej służyły naszej przyjaźni przez otwarte oświadczenie obecnie, że w postawie Rosji w stosunku do jej mniejszych sąsiadów czyni ona wiele, by utracić i zniszczyć tę dobrą wolę, którą pozyskała jej bohaterstwo”.

Mc Govern (laburzysta):

„Rosja posiada w naszym kraju ogromny kapitał „dobrych” uczuć (good feeling), który w dzisiejszym momencie bilansuje się, i zależeć będzie głównie od postawy Rosji w stosunku do mniejszych z nią sąsiadujących państw, czy te „dobre uczucia” zostaną zdyskontowane przez Związek Sowiecki w formie przyjaźni, czy zamienią się w nienawiść do poczyną wielkiego mocarstwa w stosunku do małych państw. Odnoszę Polski musimy pamiętać, o ile słusznie można powiedzieć, że Polska mogłaby nigdy nie zostać wyzwoloną, gdyby nie rosyjski wysiłek zbrojny, to również w znacznym stopniu jest prawdą, że gdyby nie Rosja i jej pakt z Niemcami cały kontynent europejski mogłby nie dostać się nigdy całkowicie pod but niemiecki, a Francja może nie byłaby upadła na polu walki, jak to miało miejsce. Przeto bez żadnych oskarżeń powinien bym powiedzieć, że nauką, która może być wyciągnięta z tej wojny i korzyścią, jaka powinna wynikać dla ludzkości jest to, że Rosja może pozyskać na tym świecie ogromny kapitał dobrej woli, jeżeli wykaże umiar w jej postawie w stosunku do państw z nią graniczących”.

John Wardlaw Milne (konserwatysta):

„Sądzę, że będzie rzeczą rozsądną, choć mogłoby to być niezgodne z uczuciami niektórych z nas, postrzynać się od wchodzenia w szczegóły, lecz sądzę, że jedna sprawa wymaga tego, by stała się ogólnie znana, a przynajmniej, by nabrała więcej rozgłosu, niż miało to miejsce w ostatnich kilku tygodniach. A mianowicie, że w ostatnich kilku tygodniach został przez nasz kraj przedsięwzięty ogromny wysiłek, by wywiązać się z naszych zobowiązań w stosunku do Polski i przyjąć z pomocą Warszawie. Myśle w szczególności o pracy RAF’u. Sądzę, że nawet w naszym kraju nie wie się o tym jak desperackie były nasze próby i straty, które na nieszczęście ponieśliśmy próbując zrobić ze swej strony dla obłąkanej ludności Warszawy wszystko, co było w naszej mocy. Nie chcę wchodzić w przyczyny, które doprowadziły rząd rosyjski do przyjęcia tej postawy, jaką zajął on początkowo w tej sprawie”.

Tinker (laburzysta):

„Proszę wyobrazić sobie różnicę pomiędzy Rosją a Polską. Państwa sprzymierzone mogą powiedzieć Polsce: „Musicie mieć to a to”, chociaż państwa sprzymierzone mogą odczuwać, że Polska jest traktowana przez Rosję, a Rosja będzie stała po swej drodze, tak jak to było w przeszłości. Każde wielkie mocarstwo w przeszłości mówiło: „Zamierzam uczynić to a to, to jest słuszne, ponieważ posiadam siłę”. Naród napadnięty gromadził dookoła siebie inne narody, które mówiły: „Tego być nie powinno”. I wojna była nieunikniona. Powiedziałbym do Rosji, albo do jakiegokolwiek innego narodu: „Jeżeli dejesz się wam krzywdy i nie macie satysfakcji, oddajcie swoją sprawę na rozprawienie instytucji międzynarodowej, która orzeknie, kto ma rację”.

Archibald Southby (konserwatysta):

„Pragnę ograniczyć się głównie do rozważania sprawy Polski i trzech republik bałtyckich, o tyle, o ile dotyczy one nas, ponieważ jestem przekonany, że nasza polityka odnośnie tych trzech państw musi nadawać ton całokształtowi naszej polityki zagranicznej. Nie da się zaprzeczyć, że nie tylko członkowie tej Izby, ale i szerokie koła opinii publicznej są poważnie zaniepokojone z powodu istniejących stosunków pomiędzy naszymi sprzymierzeńcami — Rosją i Polską i pomiędzy nimi, a nami. Należy podsumować trzy rzeczy:

1) Szerokie koła narodu brytyjskiego uważają, że do wojny przystąpiliśmy w pierwszym rzędzie w obronie niepodległości Polski.

2) Rosja pragnie, żeby to będzie możliwe, uzyskać przez negocjacje, a w innym wypadku siłą znaczne części Polski, która pragnie włączyć do terytorium sowieckiego.

3) Sądzi się ogólnie, że w pewnym stopniu dopuszczamy do upadku Polski.

Oddaję należny hołd naszemu rosyjskiemu sprzymierzeńcowi za jego wspaniałe (Dokroczenie na str. 11)

DOKUMENTY

(Dokończenie ze str. 11.)

osiągnięcia bojowe, które w połączeniu z wysiłkami naszymi i Stanów Zjednoczonych zapewniły ostateczną klęskę hitlerowskiej tyranii. Byłoby jednak zarówno niesłuszne jak i nierozważne ze strony tych, którzy kierują losami Związku Sowieckiego wyobrażać sobie, że los Polski i republik bałtyckich, jak i wyłączenie ich granic nie dotyczy nas, lub że naród brytyjski nie odczuwa, że w grę wchodzi jego honor.

„Czy mogę przypomnieć Izbie że po wojnie polsko-rosyjskiej w 1920 r. to my właśnie superowaliśmy Polakom, by wycofać się poza to, co się obecnie nazywa linią Curzona, lecz rząd sowiecki był tym, który odmówił przyjęcia mediacji wielkich potęg i nawiązał na bezpośrednie negocjacje z samą Polską? W rezultacie tych negocjacji w marcu 1921 został podpisany układ w Rydze. 15 marca r. reprezentanci konferencji ambasadorów przyjęli rezolucję uznającą wschodnie granice Polski określone przez umowę ryską, a Stany Zjednoczone wyraziły swą zgodę na tę rezolucję 25 kwietnia 1923 r. W maju 1939 r. polski minister spraw zagranicznych otrzymał zapewnienie sowieckiego, zastępcy komisarza dla spraw zagranicznych, że na wypadek wojny pomiędzy Polską a Niemcami Rosja przyjmie postawę dobrej woli w stosunku do Polski. Ten fakt miał miejsce, a 17 września 1939 r. wojska rosyjskie dokonały inwazji na Polskę. W 11 dni później zostało opublikowane to, co się nazywa „układem Ribbentrop-Mołotowa”, w wyniku którego każdy z sygnatariuszy zabrał w przybliżeniu połowę Polski. A gdy Niemcy zwrócili się przeciwko Rosji, w rezultacie tego rząd sowiecki 30 lipca 1941 r. wyraził się powyższemu układowi. Nie nie mogło być bardziej kategoryczne niż oświadczenie rządu sowieckiego, że warunki układu z Niemcami odnośnie terytorialnych zmian w Polsce utraciły swą siłę. W tym samym dniu nasz minister spraw zagranicznych złożył zamienne oświadczenie, że nie uznaliśmy żadnych terytorialnych zmian w Polsce od roku 1939. Następnego dnia podobna deklaracja złożył Sumner Welles w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych. W styczniu 1943 stało się rzeczą jasną, że rząd sowiecki zamierza nalegać na ustanowienie rosyjsko-polskiej granicy, właściwie takiej samej, jak ustalona w układzie Ribbentrop-Mołotowa, której Związek Sowiecki wyraził się 30 lipca 1941 r. Oto są historyczne fakty”.

„Zadanie Rosji rektyfikacji jej granic jest zupełnie zrozumiałe, lecz ta rektyfikacja musi nastąpić przez porozumienie a nie przez siłę. Możemy się zgodzić na tzw. linię Curzona tylko, o ile rząd polski i naród polski zgodzą się na nią ze swej własnej dobrej woli, a nie pod przymusem. Czyż ktośkolwiek ośmielił się zaprzeczyć, że Polacy skrupulatnie wypełnili wszystkie swe zobowiązania w wojnie przeciwko Niemcom? Na morzu, lądzie i w powietrzu Polacy walczeli u boku naszych żołnierzy z niedoścignioną odwagą. Nigdy ani na chwilę nie zalałami się ich duch i ich heroizm. Dopóki wojna się nie skończy i dopóki naród polski nie będzie mógł być przeszkodą i bez przymusu wypowiedzieć się co do tego, jak i przez kogo chce być rządzony, polski prezydent w Londynie, polski premier w Londynie i polski rząd w Londynie są pełnoprawnymi kierownikami i przewodcami Polski.

„Tymczasem obecna sytuacja, a być może i powojenna harmonia wśród sprzymierzonych, są zagrożone przez działalność organizacji zwanej Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Spójrzmy prawdzie w oczy, jest to w rzeczywistości rząd ustanowiony przez Moskwę, znajdujący się w opozycji do prawowicie ukształtowanego rządu polskiego, którego ministrowie znajdują się tutaj w Londynie. Kilka tygodni temu polski premier wysłał memorandum, co do którego żywno nadzieję, że stanie się podstawą porozumienia pomiędzy rządami sowieckim i polskim. Mimo to polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podjął się podpisywania układów z rządem sowieckim republik ukraińskiej i białoruskiej, co jest przeniesieniem polskiej i sowieckiej ludności, co na pewno jest sprawą należącą do kompetencji rządu polskiego.

Do czytelników

Cena niniejszego numeru „Orla Białego”, wzroszonego do 16 stron tekstu, została podniesiona do 15 lirów za egzemplarz. Do każdego egzemplarza niniejszego numeru „Orla Białego” przynależąco dla czytelników 2. Polskiego Korpusu dołączono bezpłatny artystyczny dodatek ilustracyjny, na który składają się reprodukcje arcydzieł malarstwa włoskiego: Michała Anioła, Rafaela, Tycjana, Giotto, Lorenzetti i t.d.

„Odpowiadając 26 stycznia na pytania w Izbie Gmin minister spraw zagranicznych potwierdził oświadczenie złożone przez Churchilla 5 września 1940, a mianowicie, że nie uznajemy żadnych terytorialnych zmian dokonanych w czasie wojny, o ile nie zostaną one przeprowadzone za swobodną zgodą i dobrą wolą stron zainteresowanych. Potwierdził on również swą kategoryczną notę, którą wysłał do p. Sikorskiego, po podpisaniu układu polsko-rosyjskiego w 1941 r.

„Churchill stale stoi w obliczu wielce skomplikowanych wypadków, które zapewne przetrząsnęłyby ołówkiem mniejszego niż on. Zdaje sobie sprawę z tego, jak trudne muszą być liczne decyzje, które musi on podejmować, lecz nie może uciec, aby być jedną osobą 22 lutego 1944, która odczuła pewien niepokój, gdy usłyszał słowa premiera: „Nie mogę nie uznać, by żądania Rosji zabezpieczenia jej zachodnich granic wykraczały poza granice tego, co jest rozsądne i sprawiedliwe. Granica polsko-rosyjska, którą obecnie rząd rosyjski próbuje ustanowić, jest tą samą granicą, którą ustalono siłą w 1939. Rząd brytyjski oświadczył we wrześniu 1939 odnośnie Polski: „Ten atak na naszego sprzymierzeńca w momencie, gdy był on wycopany, w obliczu przeważających sił zrujnowanych przez Niemcy, nie może w opinii rządu Jego Królewskiej Mości znaleźć usprawiedliwienia przez argumenty wysunięte przez rząd sowiecki”. To samo żywo dwa dni później przemawiając w imieniu opozycji Greenwood, który powiedział: „...” (zdanie opuszczone w depeszy).

„Ostatnie wypadki w Warszawie znacznie zwiększyły zainteresowanie opinii publicznej sprawami polskimi. Pierwszego sierpnia bohaterzy Polacy powstali przeciwko ich niemieckim ciemnościom. Jak najbardziej niesłuszna jest sugestia niektórych, że powstanie było przedwczesne i podjęte bez upoważnienia; natomiast jest faktem, że dowódcy lokalni działali zgodnie z ogólnymi instrukcjami, które były przekazywane zarówno Rooseveltowi jak i Churchillowi, a polski prezydent oświadczył, że 31 lipca 1944 poinformował on również Molotowa. Zupełnie niezależnie od tego, w ubiegłych miesiącach znajdując się w dyspozycji sowieckiej radiostacji Kościuszki i audyuje radiowe Związku Polaków Patriotów wyzwały Polskę do brojnej rewolty przeciwko Niemcom. Atakowano gen. Bora, który dowodził Armią Polską w Warszawie, za jego rękodzieło bezczynności. W czerwcu radio moskiewskie powiadzało, że panuje ogólne przekonanie, że nadszedł czas, by uderzyć. 29 lipca zwrócono się z bezpośrednim apelem radiowym do set patriotów twierdząc, że bezpośrednia akcja zbrojna na ulicach Warszawy mogłaby przyspieszyć godzinę ostatecznego wyzwolenia. 30 lipca przez radio poszedł następny apel. Dwa dni później Bór i jego żołnierze weszli w akcję. Nikt nie może zaprzeczyć, że posuwając się naprzód armia czerwona odniosła korzyści z powsta-

nia, ponieważ opóźniło ono przejście niemieckich posiłków w ich drodze na front. Na nieszczęście, rosyjskie postępy zostały zatrzymane przez bardzo silny opór niemiecki, co najmniej trzech pancernych dywizji. Zapewne każdy wyobrażałby sobie, że przeto wszelki możliwy wysiłek zostanie zrobiony, by przyjąć Polakom w Warszawie z pomocą. Czego potrzebowali, to były: amunicja i żywność, a mimo rozpaczyliwych apeli Bora, polskiego premiera i rządu w Londynie, pozostawiono ich o ich własnych zasobach. Dopiero 15 lub 16 sierpnia bombowce z załogami brytyjskimi, polskimi i południowo-afrykańskimi, które musiały przelecieć około 1750 mil i straciły 21 ze 100 bombowców, przyniosły pewną pomoc znajdującym się w ciężkiej sytuacji naszym warszawskim sprzymierzeńcom. Od tego czasu, dzięki Bogu, pomoc dla Warszawy płynęła zarówno od nas jak i od Rosjan i Amerykanów.

„Dwa pytania wymagają odpowiedzi: „Kilkakrotnie powtarzano nam, że Rosja posiada faktyczne panowanie w powietrzu na froncie wschodnim. Dlaczego zatem Bór musiał pisać 5 sierpnia, że niemieckie bombowce są czynne i dążą do przekroczenia ze strony rosyjskich sił lotniczych? Dlaczego rosyjskie samoloty nie zrzucały broni i amunicji, której potrzebowali Warszawa? Można by przyjąć, że te czyny inny względy natury wojskowej były tak palące, że żadne sowieckie aparaty nie były wolne, lecz o ile byłaby to prawda, powstaje drugie pytanie:

„Dlaczego nasze samoloty musiały przelewać tak ogromne długie przestrzenie, a nie zezwolić im na skorzystanie z lotnisk rosyjskich, które musiały się znajdować w jakiejś rozsądnej, bliskiej odległości od Warszawy? Do niedawna odmówiono im prawa lądowania na rosyjskich lotniskach”.

E. den oświadczył: „Jestem przekonany, że pan nie chce stawiać sprawy fałszywie i przyczyniać się do utrudnienia sytuacji. Nigdy nie powstała kwestia domagania się przez nas ułatwień na lotniskach rosyjskich. Loty nasze były przeprowadzone wprost z Włoch”.

Southby: „Oczywiście przyjmuję poprawkę E. den. Powinieniem być powiedzić: Odmówiono prawa lądowania samolotom amerykańskim”.

Southby mówił w dalszym ciągu: „Jestem przekonany, że przyszłość świata zależy od porozumienia pomiędzy rządem sowieckim, nami i Stanami Zjednoczonymi, lecz również z całego serca i z całej duszy wierzę, że nigdy nie dać się być rządzonym przez sowieckim, jeżeli rozmowy między nimi i nami nie będą prowadzone otwarcie, i że nie odnieść żadnego pożytecznego skutku zaprzeczenie sprawiedliwości w stosunku do Polski, ponieważ chcieli postępować delikatnie z rządem sowieckim.

„Jestem bardzo ostrożny w tym co mówię i nie dam się zbici z tropu przez przewidywania.

LONDYN — WARSZAWA — MOSKWA

(Dokończenie ze str. 10.)

mitetu Wyzwolenia”, Bierut, Osóbka - Morawski i „gen.” Zymierski. Korespondent Reutersa donosi w związku z tym z Moskwy: „Przybycie polskiego premiera Stanisława Mikołajczyka z rządu polskiego w Londynie wysunęło zażądanie przyszłości Polski na czoło. Mikołajczyk pod przewodnictwem (guidance) Churchilla i Stalina został zaproszony do wszelkich rokowań z poparciem przez Sowietów „Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego”.

Wynikłoby z tego, że w Moskwie prowadzone będą nie tylko rokowania polsko-rosyjskie, co po prostu retraktacje rządu polskiego w Londynie z tubelskim Komitetem Wyzwolenia. Prasa angielska donosiła, że punkty stywnego memorandum p. Mikołajczyka stoją się znowu aktualne. Przypomniała ona również wytyczne ostatniego przemówienia Churchilla dotyczące spraw polskich. Postawa zaś Komitetu Wyzwolenia nie jest dla nikogo tajemnicą. Nasze stanowisko jest również jasne. Wyrażaliśmy je wielokrotnie. Nikt nie jest upoważniony do rokowań, które prowadziłby do rezygnacji z naszych praw, naszej suwerenności i naszej godności. Polska wykaże, że przed nikim kapitulować nie chce i kapitulacji nie użna.

A takim uchynieniem godności i suwerenności Rzeczypospolitej byłaby tworzenie rządu polskiego pod okupacją, wprowadzenie agentów zagranicznych do polskich władz państwowych, obsadzenie

stanowisk wojskowych zdradzającymi czy dezertierami.

Od chwili wybuchu wojny Polacy nie stali wobec wydarzeń tak doniosłych i decyzyjnych tak dramatycznych.

Na szerszym tle

Oczywiście sprawy greckie, jugosłowiańskie i polskie stanowią tylko fragment i to dla zagadnień ogólniejszych, dotyczących organizacji całej Europy. Są one ponadto odbiciem stosunków angielsko-sowieckich. Wydaje się, że w Moskwie zwłaszcza, sprawa Niemiec będzie gruntownie rozważana. Czy Niemcy będą rozbite, podzielone na strefy wpływów, czy też utrzymane jako jeden blok ulegający w łapach to z chodu, to zachodu — oto za zagadnienia kapitalnego znaczenia dla przyszłości Europy. Poddanie Rzeszy pod wpływ jednego tylko mocarstwa nadmierne wzmocnienie jego pozycji i zwycięstwo by równowagę europejską, a podział Moskwę wywołał trudności różnego rodzaju. Rosja sowiecka posiadając w Moskwie niemiecki Komitet Wyzwolenia kieruje się w sprawach Rzeszy planem zarysowanym dość konkretnie i przewidującym rozwiązania lokalne. Na razie, według Agencji Reutersa Rosja miałaby zyskać rozszerzenia jej strefy wpływów w Europie na Polskę, zachodnią Prusę Wschodnią, Norwegię, Czechosłowację, Węgry, Rumunię i Jugosławia. Na razie tyle...

D. I.

„29 sierpnia lotnicy RAF-u dokonali przelotu 2.000 mil w tych warunkach atmosferycznych w tym celu, by dopomóc armii rosyjskiej przez bombardowanie portów bałtyckich: Szczecina i Królewa. Operacja ta kosztowała nas 41 maszyn. Jeśli moglibyśmy to zrobić, by pomóc naszym rosyjskim sprzymierzeńcom, na pewno mogli oni znaleźć trochę samolotów, które mogły przynieść pomoc Warszawie, pokonywując nieskończenie krótszą odległość.

„Próbowałem przedstawić stan sprawy polskiej umiarkowanie i rzetelnie. W imię sprawiedliwości należy stwierdzić:

„To, co uczynimy w stosunku do Polski, nada po zakończeniu wojny ton opinii całej Europy o W. Brytanii”.

Quintin Hogg (konserwatywa): — „Przechodzę do sprawy polskiej. Spodziewam się, że nie będę posądzony o rzucanie próżnych słów krytyki Polaków. Nawet jeżeli nie zgadzam się z nimi, uważałem to za impetywność ze strony człowieka, który nigdy nie cierpiał niczego, co by można porównać z cierpieniami najcięższego z Polaków. Prócz byłoby słowa krytykowania czegośkolwiek, co oni czynili. Przeciwnie, powinniśmy stale pamiętać o naszym długu wdzięczności w stosunku do nich, jak w godzinie klęski byli Polacy statkami źródłem natchnienia. Powinniśmy pamiętać o ich wierności jako sojusznika, o ich żołnierskiej dzielności i koleżeńskich lojalności. Powinniśmy się jeszcze i jeszcze raz starać zapewnić, że naszym celem i naszą nadzieją jest odbudowa wolnej i niezależnej Polski, która mogłaby pewnego dnia radować się tą pogodynią, której tak bardzo pragniemy dla Polaków. Wierzymy, że oni na nią tak bardzo zasłużyli.

„Lecz o ile wypadki ostatnich pięciu lat w ogóle cokolwiek oznaczają, to mówią one, że ani my, ani jakakolwiek inna potęga świata nie może umożliwić Polakom przeciwstawić się równocześnie zarówno Niemcom jak i Rosji. Nie może ich uratować w takim wypadku, choćby był on najbardziej niezawinionym rezultatem ich polityki zagranicznej. Nie byłobyśmy w stanie dopomóc im nawet wtedy, jeżeli by udzielenie pomocy wiązało się logicznie z naszą własną niepodległością i wolnością. Należy powiedzieć ku wiecznej chwale Polaków, że nigdy na przestrzeni tych ciężkich czasów nie dali najmniejszego dowodu, jakoby ich spory z Rosją wpłynęły ich, chociażby w najmniejszym stopniu, w znowu z naszym wspólnym wrogiem — Niemcami. Lecz trzeba powiedzieć na pewno, że o ile pozwalalibyśmy im wierzyć, jakobyśmy byli w stanie uczynić to, co zarówno nasze położenie geograficzne, jak polityczny układ w którym musimy żyć i nasze militarne zasoby, czynią niemożliwym — to rzeczywiście popędzilibyśmy bardzo niehonorowo wyznajaczy, że mielibyśmy osiągnąć dla naszych przyjaciół w rzeczywistości więcej, niż byłobyby skłonni lub mogli uczynić.

Sądząc, że jest rzeczą słuszną zastanowić się przez chwilę nad tą szczególną relacją o wypadkach w Warszawie, którą przedstawiał nam Southby. Śledziłem tylko sprawozdania prasowe. Southby nie wspominał o tym, co zdaje się być w każdym razie istotnym i ważnym faktem.

Armie sowieckie posuwające się ku Warszawie przebyły 300 mil. Musiały przeto znacznie obciążać swe środki komunikacji, ich przednie oddziały musiały być w stanie znacznego wyczerpania. Nie wiem i nie próbowałbym rozstrzykać zagadnienia, czy powstanie polskie w Warszawie zostało rozpoczęte po konsultacji z Rosją, czy bez niej. To wydaje mi się rzeczą nieważną. Co jest rzeczą pewną, to fakt, że natychmiast po wybuchu powstania Niemcy rozpoczęli przeciwdziałanie, które, jak na razie, odrzuciło Rosjan z powrotem na Wisłę i bez wątpienia zadało im militarną porażkę. Są u nas złośliwi ludzie i tacy, którzy dali się ponieść uczuciom, dla których można mieć tylko głęboką sympatię. Ludzie ci wierzyli i dopuszczali twierdzenie, że Rosjanie nie udzielili Polakom pomocy, ponieważ pragnęli, by powstanie upadło. Ja nie wierzę w tego rodzaju potwara. Jeżeli Rosja i Ameryka będą się ważyć, nie może być dostatecznej przeszkody dla powtórzonego pojawienia się w Europie niemieckiego niebezpieczeństwa zarówno dla Polski jak i dla reszty Europy. „Oto skala, na której musimy budować naszą politykę zagraniczną”.

Nowe książki

W najbliższym czasie ukaza się w Bibliotece „Orla Białego”:

Henryk Sienkiewicz: „Quo Vadis” w 2 t. po 65 l.

Adolf Bocheński: „Pisma zebrane”

Bolesław Kobrzyński: „Przewodnik serdeczny” — poczyć.

O WARSZAWIE W RZYMIE

(Z prasy włoskiej)

Upadek Warszawy łącznie z nominacją gen. Bora-Komorowskiego na stanowisko Naczelnego Wodza wywołał w prasie włoskiej cicha stosunkowo liczne i na ogół komplementarne sympatii dla naszego stannowiska. Niektóre dzienniki włoskie zajęły w szczególności zdecydowaną postawę wobec bezprzykładnych napaści propagandy sowieckiej na Naczelnego Wodza, jak i w ogóle na bohaterów obrońców stolicy. Oto co pisał chrześcijańsko-demokratyczny „Il Popolo”:

„Oskarżenie ze strony tzw. „komitetu polskiego”, utworzonego w Moskwie, przeciwko gen. Borowi zbiega się z mianowaniem go Naczelnym Wodzem polskich sił zbrojnych. Nominacja ta nagradza wyjątkowe zalety odwagi, które wykazał gen. Bór pozostając w Polsce pod okupacją niemiecką, by dalej tam prowadzić walkę z najeźdźcą. Bohaterska walka na ulicach Warszawy stała się najwyższą i znaczącą próbą. Pozostaje nam zatem zapytać, w imię jakiego to autorytetu i jakiej misji oczyszczenia „komitetu lubelskiego” pretenduje do tego, by sądzić i karać kogoś, kto złożył na polu chwały wszystkie swoje siły dla Polski wolnej i niepodległej”.

„La Voce Repubblicana” zajmując się zarzutem, iż powstanie w Warszawie było przedwczesne, zaznacza co następuje:

„Pomiędzy lekkoimi Polakami, którzy zajmują się polityką w Chelmie, a polskim patriotą, który prowadzi walkę w Warszawie, ciężar moralny przeważa całkowicie na stronę tego ostatniego. Jeżeli Bór działał przedwcześnie, to nie jest to jeszcze powód, by go oskarżać. Jego zmyślne poświęcenie jest wart każdego szacunku i wzbudza najwyższy podziw. Pragniemy, by alianci i Rosja znaleźli sposób udzielenia szybkiej i skutecznej pomocy prowadzącym rozpaczliwą i nierówną walkę, która choć dostarcza nowych i krwawych wawrzynów bohaterom Polakom, skazuje ich równocześnie na wytopienie, jakiego może w wielkiej części dalać się uniknąć”.

„L'Osservatore Romano”, organ watykański, zacytowałszy głos „La Voce repubblicana” dodawał od siebie:

„Jeżeli Osóbka-Morawski chciał wyrazić swoje zdanie o wielkich i tragicznych zdarzeniach w Warszawie, nie powinien był występować z oskarżeniami, ale z obroną. Nie powinien był oskarżać Bora, ale bronić siebie, nie powinien był stawiać zarzutów Borowi, stojącemu na usługach swego rządu, ale usprawiedliwiać siebie, Osóbki-Morawskiego — szefa „rządu” własnego. Powinien on był w szczególności dobrze wytłumaczyć, dlaczego to uważał, że jego własna interwencja w wydarzeniu warszawskim była wciąż „przedwcześnie” i dlaczego to warunki, w jakich znalazła się jego ojczyzna, a które poruszyły cały świat i skłoniły aliantów do wysłania pomocy z daleka wśród najtrudniejszych okoliczności, nie zachęciły jego, Osóbki-Morawskiego, do przesłania posiłków z bliska w warunkach znacznie łatwiejszych, a decydujących”.

„W Polsce, tak jak i u nas, istnieje przystawość o złoty milicjanie. Ale tutaj lepiej jest użyć innego włoskiego przysłowia biorąc pod uwagę, że chodzi o komunikaty do prasy: „Płkownik milicjanczy nigdy jeszcze nie napisano”.

Uznanie świata

Zakończono walkę w Warszawie wywołało w „L'Osservatore Romano”, na którego łamach poświęcono tyle miejsca walce naszej stolicy, następujące uwagi:

„Bolesny koniec był do przewidzenia. Pomimo wysiłków aliantów, nadsyłano pomoc dla Warszawy, nie będąc bezpośrednią interwencją wojskową, nie mogła zapobiec ustaniu epickiej obrony. Jak przy gaszącym płomieniu, wielokrotnie w ciągu tych dwu miesięcy siła niewiarygodnego oporu wydawała się zanikać, ale nowe jej zrywy rozpaliały nowe nadzieje. W ostatniej nawet dekadzie września można było się spodziewać, iż podjęty nacisk rosyjski oraz trudności, które miał nieprzyjaciel w posyłaniu posiłków warszawie, będą zapowiadali epilogu pomyślnego dla powstańców. Tymczasem naporowi rosyjskiemu odpowiedział nowy wysiłek niemiecki, który znowu odwrócił sytuację. Siłom niemieckim wziętym w dwa ognie przez Rosjan i Polaków udało się dzięki nowym oddziałom przybyłym z zachodu i południa wiązać w klaszecie wojska powstańcze, których kapitulację uważano się w ostatnich godzinach za nieuniknioną.

„Jeśli walka Warszawy nie mogła zakończyć się zwycięstwem, to przecież epilog jej wydaje się godny najwspanialszych

rozdziałów tej, jak i każdej innej wojny. Żadnego bowiem boju z tej wojny, a niewiele walk z innych czasów można porównać ze zmaganiem polskiej stolicy, prowadzonym przy nierówności ilości ludzi, wśród ruin i niewypowiedzianych braków, przy złym uzbrojeniu, nie ustającym ogniu, chorobach dziesiątkujących żyjących, bez pomocy mogącej podtrzymać żyjących w nędzy mieszkańców, którzy nie tylko nie mogli pomóc walczącym, ale sami pomocy potrzebowali. Nowe dni chwały Warszawy świadczą, jak obrona Częstochowy przeciw siłom Karola Gustawa, jak walki tej samej Warszawy w r. 1794 przeciwko Prusom i Rosji, jak powstanie z r. 1830, że patriotyzm i bohaterstwo polskie pozostały niezmienionym skarbem narodu, a dziełstwo to okazuje się niekiedy, któreś nadechdozi rostrzyskająca chwila dla losów Europy. Zastługuje też ono na stały nasz podziw i zmusza narody do najgłębszego uznania”.

Również na łamach „Tempo” ukazał się artykuł p. n. „Europejska Polska” pełen uznania dla naszego stannowiska. Głos ten podamy w następnym numerze.

Tendencyjne oświadczenie

Jedynym grzytem w jednolitym stannowisku prasy włoskiej był głos socjalistycznego organu „Avanti”. Socjaliści włoscy różnią się tym od socjalistów w innych krajach europejskich, że idą ręką w rękę z komunistami. Podczas gdy wszędzie indziej odiany drugiej międzynarodówki przeciwstawiali się silnie komunistom, a nawet — jeśli chodzi np. o stosunki polskie — zajmują wobec nich stanowisko bardziej zdecydowane niż niektóre ugrupowania centrowe, we Włoszech socjaliści zajęli wobec w-kazań sowieckich postawę bezkrytyczną.

Artykuł p. Nenni w „Avanti” pod nagłówkiem „Dramat Polski” niemal nie odbiegał — mimo spokojnego tonu i pozornej bezstronności — od dyalektyki sowieckiej. Oczywiście przetrwał winę w sporze polsko - sowieckim wyłącznie na Polskę. Polska, zdaniem tego pisma, prowadziła zawsze „politykę antysowiecką” nie ułania jednak jednocześnie użyte się z Niemcami z powodu Gdańska i Pomorza. Brak porozumienia z Rosją był, zdaniem „Avanti”, przyczyną naszej klęski w r. 1939.

Polska nie chciała wówczas przepuścić wojny sowieckich przez swe terytorium — dodajmy, że żądania rosyjskie szły już wówczas znacznie dalej, bo dotyczyły wydania im w praktyce naszych ziem wschodnich. Obecnie obstatek przy granicy traktatu ryskiego z 1921. Tym razem winowajcami są dwa tajemnicze stronnictwa „pułkowników i agrariuszy”, które nadal zajmują wobec Rosji stanowisko nieprzejednane.

Drugą przyczyną nieporozumień polsko - sowieckich są „różnice społeczne”, a mianowicie, „stara warstwa kierownicza polska nie chce porozumieć się ze Związkiem Sowieckim, gdyż w istocie nie chce ugody ze strażą przednią swego ludu”. Ta straż przednią „ludu polskiego” są oczywiście Wasilewicz, Osóbka - Morawski, Zymierski, Bierut, Rzymowski itd. a „czarnymi reakcyjnymi” wszyscy ci, którzy im się przeciwstawiają, a zatem 98 proc. ludu polskiego, jak to wykazało dobitnie powstanie warszawskie, w którym sławny „komitet wyzwolenia” nie miał w ogóle nic do powiedzenia. Lud polski nie potępił też tych, którzy nie podporządkowali się „komitetowi lubelskiemu”, ale tych, którzy wydali, by w jego ręce Polskę, a nasze masy ludowe skazały na deportację.

W oczach „Avanti” Polska jest oczywiście krajem ciemnej reakcji, a Rosja — postępu, wolności, demokracji i wszelkich ziemskich rozkoszy. Artykuł kończył się ubolewaniem, że Anglia i Ameryka wciąż podtrzymują owe dwa nieprzejednane stronnictwa „pułkowników i agrariuszy”, tymczasem zagadnienie polskie da się jedynie rozwiązać na płaszczyźnie „demokracji robotników”, czyli krótko mówiąc „sowieckiej”. Dziękujemy.

Odpowiedź włoska

Na wywody „Avanti” odpowiedział śmiałym artykułem w chrześcijańsko - demokratycznym „Il Popolo” czołowy publicysta tego pisma p. Gonella. Oto jego główne argumenty:

„Wielu zgodzi się, że obecny zatarg nosi cechy wojny domowej i sam Croce w swojej mowie w Eliseo podzielił tę opinię. Zgadamy się z tym i to nie od dzisiaj. Wypada nam też mówić nie tyle o wojnie narodów, co o wojnie ideologicznej między siłami wolności i tyranii, rządami demokratycznymi i totalitarnymi. Dobrze. Uwaga jednak, by zdania te, już gotowe, nie wyłączały złośliwego figla.

„Dziwaczną tezę wysuwa Nenni, który w

„Avanti” widzi dramat polski w świetle wojny zasadniczo domowej i kończy zniekształceniem oblicza heroicznej walki, jaką Polska toczy. Pisze on: „Nie ma zatargu historycznego i nieuleczalnego między Polską i Związkiem Sowieckim, istnieje za to zatarg społeczny między ideałami, które Związek Sowiecki reprezentuje, a partiami reakcyjnymi, które stały u steru w Polsce i chciałyby doń powrócić po przerwie wojennej”.

„I tutaj również formułuje się sądy zarówno pochopnie jak i niesprawiedliwie, myśląc, że można zlikwidować przeciwników przy pomocy zawsze tego samego i taniego oskarżenia: „reakcyjności”. Kto nie jest komunistą — jest reakcją, jak gdyby przeciw totalizmowi; komunistycznym i totalizmom hitlerowskiemu nie można było znaleźć wspólnej postawy, która by zaprzeczała obu terminom, postawy skąd inąd jedynie, naprawdę i całkowicie antytotalistycznej.



Pomnik Chopina w Warszawie

„Kto traktuje tę wojnę jak „wojnę domową” między siłami wolności i reakcji, a potem z dyskretną dozwolnością ogranicza się do mówienia wyłącznie o polskich partiach reakcyjnych, fałszuje historię i w końcu dyskredytuje politykę narodu, który pierwszy przed jakimkolwiek innym przelał swoją krew nie za reakcję, ale za wolność. Chcieliśmy dowiedzieć się od redaktora „Avanti” — piętnującego „pułkowników i feodalów polskich, kto pierwszy powiedział „nie” Hitlerowi po kapitulacji Monachium, kto zdobył się na odwagę, by stawiać czoło pierwszemu i samotnemu siłom nazistowskim napastnikowi, kto wspaniałomyślnie od Polaka poświęcił siebie samego, swoje mienie, swe życie i wszystkie bogactwa swoich miast, swoje dobra i nawet pełne chwały zabytki swojej historii — dla sprawy wolności przeciw zmotywowanej tyranii. Nie jeden dzień, ale pięć lat krwi, głodu i łez...”

„Polsce należy się jedno tylko miejsce: na czele narodów, które walczą o swe prawa do życia wolnego i niezależnego z przemocą imperializmu daremnie próbujących rozciągnąć swą bandycję przestępstw życiową.”

„Trzeba też zupełnego zaniku jakiegokolwiek zmysłu historycznego, by obecne wrogie stosunki polsko - rosyjskie sprowadzać do przeciwnieństw między narodem feodalnym a narodem proletariatu. Jak można udawać, że nie widzi się tu historycznego zatargu dwóch cywilizacji, dwóch światów, dwóch kultur, walki odwiecznej, której jeden ze zwykłych epizodów przeżywać obecnie.

„Jeżeli istnieje polityka, którą komunizm całkowicie odziedziczył po imperializmie carskim, to jest nią właśnie polityka antypolska. Na tym polu komunizm nie wykazuje żadnej oryginalności, nie mówiąc nie ponad to, co mogła powiedzieć Katarzyna Wielka: rozbrać Polskę, jak została rozbita z Niemcami w r. 1839, pchnąć ekspansję rosyjską jak najbardziej na zachód, posłużyć się polskimi zdrajcami, by sprowadzić niepodległą Polskę do roli uległego wasala, czego również doskonale przykładamy znajdziemy w wiekach ubiegłych.”

„Straszliwa to monotonia historii, którą na próżno próbuje się zaciemnić kontrastem między rosyjskim kolchozem a polskimi latyfundiastami...”

Po stwierdzeniu, że nawet przystawowi „pułkownicy” woleli „dumną walkę” z Niemcami, pismo zaznaczało dalej:

„Tymczasem jednak właśnie owi „reakcyjności”, owi patrioci stojący już do wskazówek jednego rządu przez Polaków uznanego — walczący na okopach Warszawy, lecz napotkawszy na przynajmniej się wroga i zdrajcęckiego uderzenia, w plecy, musieli zaprzestać epickiego boju. Właśnie ci „reakcyjności” mają prawo nazywać się obrońcami niepodległości i wolności nie tylko przed nazistami, ale i przed „komitetem” polskich Quislingów zbranych z niesłychanym trudem wśród nieznanych, nieodpowiedzialnych i wątpliwie wartości figur, jak np. minister obrony gen. Rola - Żymierski, sądowny w swoim czasie i zdegradowany za podejrzaną handel z fabrykantami broni.

„I wreszcie Moskwa, która przez radio obwieszcza oficjalnie poszanowanie niezawisłości innych krajów, a pozwala na skandal, jakim jest obliczanie tzw. „polskiego komitetu wyzwolenia” Japonia, sądzania i karania. Kogo? Może zezwólowe generała-gubernatora Franka? Nie — gen. Bora, mianowanego Naczelnym Wodzem przez tego, który jedynie ma prawo mianowania. Jest to bezwstyd, gdyż działo się w chwili, gdy bohaterki żołnierze polscy walczący na okopach Warszawy i wieńczący swój heroizm wpadając w niewolę wroga-nazisty, przez którego nigdy nie został ujęty.

„Moskwa, która idąc z wiatrem obwieszcza w lipcu 1914 r. uroczyste, że zawarty z Hitlerem pakt o rozbrojeniu Polski należy uważać za niebyły, Moskwa, która przecie idąc znowu z wiatrem podpisała Kartę Atlantyczną nie dopuszczając do zmian terytorialnych bez zgody zainteresowanych krajów, na nowo wysuwa zagadnienie granic, to znaczy nowy rozbiór Polski.

Wszystko to nas nie dziwi. Stara to i smutna historia, straszliwie stara i straszliwie smutna. Jest to najtwardsza i najbardziej szlachetna droga w sercu europejskiego pokoju. Ale niech nam nikt nie mówi, że jest to raczej dramat „społeczny” niż „narodowy”. Zresztą tezie „Avanti”, które widzi w zatargu rosyjsko - polskim zasadniczą sprzeczność między rosyjskimi chłopami i polskimi latyfundiastami, przeczy oficjalny komunikat moskiewskiego radia, który oznajmił, że okupacja rosyjska „nie wpłynie na społeczną budowę innych krajów”. Nie wchodzić w sferę służność owej tezy z pewnością nie jest rzeczą szlachetną umieszczać polityczną klasą kierującą Polską — co krwawi się od pięciu lat o wolność — w szeregu sił reakcyjnych i jest rzeczą zbyt arbitralną mieszać wojnę domową między wolnością a tyranią z walką klas. Wydaje się, że dopatrywanie się w tej wojnie walki ludów biednych z ludami bogatymi jest niskim naśladownictwem faszyzmu. Inne wartości wchodzić tutaj w grę, których nie może zrozumieć materializm społeczny, a które ukazują się jasno każdemu, kto ma oczy i widli obświecający przykład polskiego heroizmu”.

„Avanti” odpowiadało na te interesujące wywody notatką, w której przyznało co prawda, że w r. 1939 Polska powiedziała Niemcom „nie”, ale zdaniem tego pisma, nie zmienia to postaci rzeczy, że „od Wilna w 1920 r. do Cieszyń w r. 1938 stronnictwo pułkowników i agrariuszy (ciągłe nie wiemy, o kogo chodzi? — przyp. red.) stałe prowadziło politykę nacjonalistyczną, faszystowską i antysowiecką”. Ślad „siłoboski” Polski. Trudności jej, według „Avanti”, nie zmienia się, dopóki „Polska nie wymiecie faszyzmu ze swego domu i nie odsunie od władzy starej kasty agrarnej”.

Włoski czytelnik przecierał zapewne ze zdumienia oczy, czytając tajemnicze rewelacje o „pułkownikach” i „agrariuszach”, sięjących takż zamęt w Europie.

Historia bowiem notuje, że od r. 1920 aż po dzień dzisiejszy żaden „pułkownik” i „agrariusz” polski nie napadł na biedną Rosję. Natomiast wiele można by powiedzieć o działalności rosyjskich „komandorów” i innych panów z NKWD na przestrzeni czasu od 17 września 1939 r. aż po dzień dzisiejszy...

„Il Popolo” wytknęło zresztą samo pismu „Avanti” różne sprzeczności w jego argumentacji zajmującą się w szczególności sprawą Zaolzia. Pismo stwierdzało: „W istocie Cieszyń stanowi obszar zamieszkały, jak to sami Czesi, przynajmniej, przez Polaków...” Wrzycy „faszyści” polscy czekali cierpliwie 20 lat i dopiero w r. 1938 (nie w Monachium, ale po Monachium), odzyskali Cieszyń w drodze pokojowego układu, z prawowitym rządem Częstochowacji. A zatem terytorium to zostało przyłączone do Polski na podstawie swobodnego porozumienia”.

Na tym zakończyła się polemika między „Avanti” i „Popolo” na tematy polskie.

D. I.

B. GOMUŁA

DRUGA BITWA O ANGLIE

(Korespondencja własna „Orła Białego” z Londynu)

Piszę druga — nie ostatnia, albowiem właśnie teraz — w połowie września — rozpoczyna się nowa i bodaj ostatnia faza: bombardowanie stolicy Imperium przez rakietę — C. 2. Być może, ta ostatnia faza będzie najgroźniejsza i najcięższa pociągnięta strąły. Ale jeszcze za wcześnie, by o tym pisać.

Natomiast faza druga, bombardowanie Londynu przez bomby latające, V. 1. (Vergeltungswaffe Eins, jak je nazywają Niemcy) się skończyła. Trwała ona 80 dni, od 13 czerwca do 31 sierpnia, choć na dobre zaczęło się dopiero 15 czerwca o godz. 11.40 wieczorem. W tym okresie Londyn miał 417 alarmów (przezśrodk 1100 od początku wojny — zapewne rekord, jak na stolicę) czyli przeciętnie po 5 dziennie. Około 800 tysięcy domów zostało uszkodzonych, w większości wypadków jednak uszkodzenia te ograniczają się do wybitych szyb, wywalonych drzwi itd. Doszczętnie zburzonych domów jest jednak kilkadziesiąt tysięcy. Ofiary w zabitych wynosiły w cyfrach okrągłych (92' ofiar przypada na Wielki Londyn): w czerwcu 1.900, w lipcu 2.700, w sierpniu 1.100. W czerwcu bombardowanie objęło tylko połowę miasta — w przeliczeniu miesięcznym przeto stosunek ofiar przedstawia się: czerwiec — 3,8 (podwójnie), lipiec 2,7, sierpień 1,1. Tak więc liczba ofiar była największa w czerwcu, w lipcu malała powoli, w sierpniu gwałtownie. Oprócz około 6 tys. zabitych było około 20 tys. ciężko rannych, potłuczonych zaś, zszokowanych, rannych odłamkami szkła — o wiele więcej.

Druga bitwa o Londyn była bezspornie mniej groźna i kosztowna od pierwszej, owego sławnego blitzu, który szalał nad Londynem od 7 września 1940 r. do 10 maja 1941 r. Pierwsza bitwa trwała 8 miesięcy z górą, druga dwa i pół. Pierwsza kosztowała 50 tys. zabitych i 120 tys. rannych, druga 6 tys. zabitych i 20 tys. rannych.

Pod niektórymi względami wszakże druga była gorsza od pierwszej. Przede wszystkim druga bitwa została słożona u schyłku piątego roku wojny, w chwili gdy ludność była znacznie bardziej wyczerpana fizycznie, a zwłaszcza nerwowo. Anglicy sami przyznają, że Londyn znacznie gorzej znosił bomby latające od blitzu. Ponadto roboty miały pewne cechy nowej a nieprzejmionej, „Starmodne” bombardowanie samolotami, bardzo szybko ograniczone zostało do nalołów nocnych. Naloty dzienne po pierwszych dwóch miesiącach blitzu niemal całkowicie ustały, a gdy z rzadka miały miejsce, to zwykle na bardzo niewielką skalę. Tuż ludność miała za dnia poczucie dość dużego bezpieczeństwa: od świtu do zmierzchu można było rachować na „all clear”. A i w nocy bomby były skoncentrowane przeważnie na pogodne, kłiszycowe noce: w owych czasach pogoda stanowiła jeszcze zapórę dla pilotów. W ciągu 8 1/2 miesięcy blitzu „złych” nocy może było ze 30, a „bardzo złych” nie więcej niż dziesięć. Tymczasem roboty latały w dzień prawie równie gęsto, jak w nocy — dzień więc nie przynosił ulgi i odprężenia. Zła pogoda oczywiście sprzyjała bombardowaniu; tylko bardzo jasne i pogodne noce i dnie — w Anglii zawsze rzadkie, a w tym roku już zupełnie wyjątkowe — przynosiły trochę upragnionego spokoju.

Były i inne różnice. Chociaż się mówiło, że Niemcy bombardowali na oślep, nie odpowiadali prowdzie, niewątpliwie piloci niemieccy celowali wcale dobitnie: w Birmingham np. trafiły we wszystkie główne dworce kolejowe. Ślad w okresie blizy niebezpieczeństwo było większe w centrum miasta, w pobliżu kolei, gazowni, elektrowni, doków, lotnisk itd., natomiast odległe, spokojne przedmieścia były rzadko odwiedzane. Bomby latające nie były tak niedokładne, jak twierdzono — świadczy o tym choćby wysoka proporcja ofiar w Londynie — ale oczywiście co najwyżej mogły celować w dzielnic, nie w poszczególne punkty, czy nawet gmachy. Stąd też, podczas gdy w okresie blizy przeniesienie się na dalekie, zachodnie czy północne krańce Londynu dawało wcale poważną gwarancję bezpieczeństwa, koczowania tego rodzaju zawodziły w okresie latających bomb. Tylko dalsze wyjazdy — powiedzmy o 50 km na północ lub zachód — pozwalały uniknąć „potworów”.

Duże kamienie stanowiły lepsze zabezpieczenie przed robotami, niż przed zwykłymi bombami. Roboty wszystkie ważyły około 1 tony, ale skonstruowane były tak,

że materiał wybuchowy był otoczony tylko cienką blachą; w rezultacie siła rozruntu była większa, siła przenikania mniejsza. Bomby zwykle przebiegały niekiedy wielkie kamienie do parteru czy nawet do podziemi; roboty demolowały tylko dwa — trzy najwyższe piętra, reszta się ostawała — minus oczywiście drzwi, okna, szyby, tynk. Natomiast siła rozruntu (blast po angielsku) była znacznie większa; bombę dawnego typu zniesły dom na proszek, ale już domki obok, czy naprzeciwko często stały nie tknięte, natomiast roboty niekiedy uszkadzały po 50 i 60 domów. Londyńczycy otrzymali, ale dużych kamienie jest stosunkowo niewiele, znacznie mniej niż w Paryżu czy Berlinie, nie o wiele więcej niż w Warszawie; domki przeważnie jednopiętrowe, a najwyższe trzypiętrowe są na ogół kruche budowane, bez żelazobetonu, po prostu z cegły; dużej bomby kruszyć było na nie po prostu „szkoda”; robot był znacznie lepiej dopasowany do zadania burzenia Londynu. Natomiast posiadano od — dla Niemców — jeden poważny defekt w porównaniu z dawniejszymi nalołami: oto nie wzniesła pożarów. Spadło, co zniszczyło to zniszczy! i koniec. Nie było tych olbrzymich czerwonych kłm, które przesłaniały całe niebo i widzialne były na dziesiątki mil za czasów blitzu.

Anglicy początkowo próbowali podwijać z robotów — nie tyle ludność, co władze. Groteskowa broń — oto jak je określało BBC. Dzisiaj raczej przyznają, że był to wynalazek groźny i w pewnym sensie

genialny. Robotów wystrzelono z Francji dokładnie 8 tysięcy; z tego 2.300 czyli 29' spadło w Londynie, 25' spadło poza Londynem, przeważnie na pola, lasy itd., a 46' zostało strąconych przez artylerię przeciwlotniczą, myśliwców i balony. Wynika stąd, że Niemcy wystrzelili przeciętnie 100 robotów dziennie, z których 29 dołatywało i spadało na Londyn; te 29 ton bomb dziennie powodowały przeciętnie około 80 śmierci dziennie, a raniły około 250 osób; wystarczyły, by terrorizować olbrzymie 10 — milionowe miasto, by skłonić milion ludzi do opuszczenia Londynu i zmusić rząd do zmobilizowania olbrzymich sił w sprzecz, ludziach i wynalazczości dla obrony stolicy.

Oficjalne źródła obliczają koszt jednego robotu na jedną dwunastą kosztu jednego myśliwca. Tak więc wyrzucenie 8 tys. bomb kosztowało Niemcy tylko ekwiwalent 700 myśliwców — za ocenę. Oczywiście do tego trzeba dodać koszt wybudowania lotnisk, a nade wszystko koszty ekspansji i utrzymania — te ostatnie musiały być znaczne. Ale w sumie gen. Eisenhower miał rację mówiąc, że roboty dostarczały Niemcom „taniego lotnictwa”.

Oddały one Rzeszy jeszcze jedną niemałą usługę: rzad angielski wyjawiał, że w ciągu roku ostatniego na wyrzucie robotów w północnej Francji alianci zrzucaли 100 tys. ton bomb. Zaden inny cel nie był tak ostrzeliwany. W ten sposób Niemcy

zaoszczędzili swemu przemysłowi 100 tys. ton bomb — a mieszkańcy Berlina i Ruryh mogli sobie gratulować tej „oszczędności”.

Pomimo całej megi nienawiści do wszechkłych bomb, przynajmniej w nocy widok robotu był niesamowicie wspaniały. Widac go było na całej mie, gdy pędził ku Londynowi, niczym kometa, a gdy się zatrzymywał i spadał, jakby wybuch pomarańczowego fajerwerku, była w tym widoku groza pociągająca. Przy tym turkot maszyn i prosty kierunek lotu zawsze pozwalały się zorientować, czy samemu widzowi groziło niebezpieczeństwo. Wybuch robotów był może tym bardziej przejmujący, że następował wśród całkowitej ciszy: nad Londynem samym nie było żadnej zapory artyleryjskiej, skasowano ją po 2 dniach, bo przecież zestrzelenie robotu nad Londynem nie służyło żadnemu rozumowemu celowi, co najwyżej zamiast jednej trafiona została inna ulica. To była także różnica istotna w stosunku do blitzu 1940 r., w ciągu którego losotk armat zgłaszały prawie wybuchy bomb.

Podobnież w czasie blitzu dezorganizacja życia była znacznie większa. Koncentracja bomb na obiekty strategiczne sprawia, że nie raz w mieście brakowało gazu, kołce nie funkcjonowały, niektóre linie i dworce były zamknięte. Roboty nie dozwalały dezorganizować przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Nie służyłam o wypadku braku gazu, czy elektryczności. Tylko parę dworców i parę pociągów zostało trafionych. Na ogół bardzo rzadko roboty trafiały w tę samą okolice — zwykle paręset metrów oddalało miejsce wybuchu jednego od drugiego. Stąd linie i ulice nie były zatruwane — i choć jest dużo zniszczeń, żadna dzielnica Londynu nie została tak zniszczona jak np. Cilly w dniu 30 grudnia 1940 r., kiedy jedna czwarta domów tej dzielnicy poszła w gruz.”

Wreszcie z tej drugiej bitwy o Londyn płyną ciekawe i doniosłe wnioski dotyczące obrony przeciwlotniczej. Pierwszy bowiem blitz wniosków takich nie dostarczył: zakończył się nie tyle z powodu skuteczności obrony, ile wskutek zaatakowania Rosji. Luftwaffe została przeniesiona na wschód i przez dwa i pół lata Londyn zaczął wyglądać spokojnie. Natomiast walka z robotami może istotnie zapisać na swą konto poważne sukcesy: w pierwszych tygodniach ilość robotów strąconych wyniosła 33 procent, w ostatnich — 74 procent, a w pewnym dniu, co prawda wyjątkowo pogodnym, doszło do 97 procent. Mimo tego jednak, groźba V. 1 ustała dopiero z chwilą, gdy wyrzucenie, z których roboty były wystrzelowane, zostały zajęte, w znacznej mierze przez polską dywizję pancerną, która walczyła naprzód od Skwany do Sommy i później od Sommy do Calais.

Bomby latające są bronią przyszłości. Kosztują taniej od lotnictwa i nie wymagają bardzo cennych załóg. Minusem jest niedostateczny zasięg — obecnie mało co ponad 200 km. Ale jak na niemowlę, nie jest to mało, a przy dalszym postępie byłoby dziwne, gdyby ten zasięg się nie zwiększył. W każdym razie już teraz każda stolica leżąca bliżej granicy niż 250 km jest potencjalnie stała w zasięgu ognia nieprzyjacielskiego.

Anglia przyjęła finał V.1 z ogromną ulgą. Ale, jak zaznaczyć na wstępie, możliwości V.2 są o tyle groźniejsze, że być może, epizod bomb latających wydawać się będzie za kilka tygodni śmieszny i niemal dziecinny.

Politycznej V.1 był nonsensem. Dla cywilnych Anglików wojna — to w pierwszym rzędzie bombardowanie i naloty. O blitzu zaczęto zapominać. Roboty niezmieniły rozdziału naszych sojuszników. O dobrych Niemcach przyszych, nieznana dawniej nienawiść do Niemców bardzo jaskrawo zaczęła się przejawiać, a zwolennicy surowych warunków pokojowych ogromnie zyskali na wpływie. Wizyta V.2 na większą skalę te tendencje tylko pogłębiła. Zadne zaś spustoszenia, nawet najgłębsze, nie skłonią dzisiaj Anglii do kompromisu — będą tylko zachętą do bardziej gwałtownej ofensywy i do takich warunków pokojowych, które by raz na zawsze usunęły groźbę niemiecką.

CZYJŚ KOSZMAR O PIEKLE

I.

Z niewiadomej racy ja chałem ku jakiejś dalekiej, bardzo dalekiej stacji... Po drodze powysiadali, a ja pojechałem dalej... w wagonie byłem sam... nie, nie sam — wcale nie sam, bo tam — w ostatnim przedziale długiego wozu widziałem kogoś drugiego...

Stał tam człowiek z tustą twarzą i nawisem ciężkich powiek. W zajątkach miał szczer i polsk smalcu... miał brudne paznokcie i brzytlowany pierścień na palcu... Znosząc nikogo. —

Na coś długo czekano, szybowano... czekano, potem znowu szybowano... Zgrzytały bufory, gdy teraz lukim pochylony pociąg wjechał na jakiś trawą zarośnięty tor... W świetle kopcepciej lampy widziałem polsk szyn, które przeciągały dźwięczały — i białe, poziome rampy... Naprzeciw jakaś buda i wylę... Mży deszcz — kropie spływają po szybie... Wzrok pełen palenka i czuwa — wszystko zasnuwa nuda...

Co to za stacja? — Już miałem otworzyć usta... Kogóż zapytam?... Znowu zgrzytały bufory... Latarnia zwrótnicy błyska... Znowu pociąg kół kroki przez przetoki... Może to Iwanie Puste? — a może to Potutory?... Nie, to zdaje się Podwołoczyska... Przeszybowali... skupowali... Tak, Teraz... Nie, nie! Wsiądę!... Na co? na taki czas? Nie, coś znowu. Tu, po ciemku? do rowu? — Nie, teraz pojedziemy dalej. —

II.

I już nie wrócimy więcej. Bo i po co? Kogóżmy zostawili za sobą, kogo byśmy tam miłowali... ponad rzeczy i potrzeby, a choćby nad sławę, a choćby nad strach... ponad życie, ponad wszystko, poprzez czas, i mimo samych nas? — ach, kogożmy zostawili za sobą?

Czegóż się myśli łopocą? o co się tak kłopotę? Jakąż wzbierają trwogą? — Zostanie przeciw człowiek sam ze sobą... Będzie miał siebie na wieczność, siebie samego... i może tego obcego, co tam stoi, który ma w kątach coś sześć...

Czegóż się człowiek boi? — Mogliśmy zresztą, gdybyśmy byli chcieli, inaczej chcieć...

Uwaga! dźwięczą zwrótnice. Przejeżdżamy granicę... Przeciaga chłód korytarzem... Kolana stygną, podemną... Ciemno...

III.

Mogłem być przeciw wsiąść... Inni musieli, ja nie, ja sobie tak, przy niedzieli... Nie było nic, co by mnie tu trzymało i przeszkadzało. Ani ten, co tam stoi bez ruchu, niemy widz, i dźwięk w uchu zapak... Ani ludzie, ani sprawy, ani nadzieja zabawy, ani w ogóle nic... Pociąg szedł powoli — był czas. Nie było woli, ani mocnej, ani słabej — nie było żadnej... Czy to jedni w martwy punkt wpadli?

IV.

Ale to nie! Tamci nas tam z martwego punktu wytrąca... Zimno? — będzie gorąco... Patną jest cudza krew... Glucho? — będzie gwarowo... głośny jest cudzy krzyk! — Pusto? będzie ludno... Nudno? — będzie szumno: ciekawki jest cudzy strach przed trumną.

V.

Jedziemy w ciemną noc... Rozgniotłem murek na szkie. Tak samo można ludzi, póki się samemu żyje! — Dybie na wsi, sztyko czas. I wchłania, i strawi w łonie i nie zostawi nic. Stoi nad nami jak kat... Czy to nie wszystko jedno: godzina, czy dwadzieścia lat? Bo i co dalej? — W tym sedno... Na odpór straszemu nie, które jest gorzej niż piekło, jedyną jest życia wściekłość!... póki się żyje... Ach, na co tyle krzyku!...

Czy nie można by na tej lawie zasnąć, w tym choćby za ciemnym korytarzku?...

O jakież w uszach dzwoni i w pierś wyje od tej dławiącej pustki. Głuchy żelazny dźwięk ciągnie po szynie... i ani się zerwie, ani się nie odwinie, ani się wzmoże, ani ścisnie... Kiedy się człowiek topi, to wtedy w strasznej ciszy wody huczenie takie syczy, nim go śmierć zaleje morze. Niby w uszach drena w nieznane... sygnał zaświatów spływający w głuche anteny...

Ale mu oto w głos wpada suchy, uparty stuk kłapiących w szyny kół, jak zwarty tupot nóg: Pięset pięćdziesiąt pięć — czterdzieść i dwa i cztery — tysiąc sto osiemdziesiąt i dwieście czterdzieści osiem — siedemset trzydzieści dziewięć — czterysta trzydzieści siedem — milion sto dziewięć: tysięcy — tysiąc dziewięćset milionów — sześćset sześćdziesiąt sześć...

Co to? — co to? — To ten tam liczy za ścianą, który ma w kątach coś sześć... I liczy, i liczy, i liczy, kropkami kół, które kłapią, jak młotek bijący w stół. I cyfrę za cyfrą szezeła jak obłąkana maszyna, drzącą mózg człowieka. —

Dlaczego muszę krzyczeć, a nie mogę? Ten po szynie huczący ton ujął mi gardło w kleszcze... — Anj trwaj, ani uciec... Twardy śmiertelny dyżur. A tamten rachuje, rachuje i jeszcze i jeszcze... Za oknem szezeł... Pięset pięćdziesiąt pięć — sześćset sześćdziesiąt sześć... Jezus!

VI.

Co synu? — To dzwoni sygnaturka... W jasnym słońcu toną szerokie winnice i cyprysy wysokie... Przecież jesteśmy w Asyżu...

Michał Pawlikowski
(„Myśl Narodowa” 1937)

AMERYKA PRODUKUJE SZTABOWCÓW

Minsto Kansas City, swego czasu znane jako „Paryż Preryi” zaczęły się tym, iż leżą w geograficznym środku Stanów Zjednoczonych. Ściśle mierzone ńrodek ten znajduje się jednak około 30 mil na północ i według lokalnej tradycji oznaczony był dawniej przez wieżę obserwacyjną starego fortu ochronnego — Fort Leavenworth.

Dawna wieża obserwacyjna od wielu lat ustąpiła już miejsca typowej wieży zegarowej na budynek dowództwa fortu, niemniej tradycja — jak na warunki amerykańskie dawna, bo ponad stuletnia — pozostała. Do tradycji tej doszło jednak coś, co czyni Fort Leavenworth jednym z najważniejszych ośrodków wojskowych w całej Ameryce. Fort ten mieści bowiem centrum amerykańskiego planowania i wykształcenia sztabowego — znane pod nazwą Command and General Staff School.

Założony w r. 1825, Fort Leavenworth był przez długie lata strażnicą ochronną na zachodniej granicy Stanów Zjednoczonych. Wewnątrz murów obronnych, na wzgórzach, nad brzegiem rzeki Missouri, formowały się w Leavenworth karawany z przawogów pionierskich wyruszające stamtąd, pod eskortą oddziałów kawalerii, na podbój dalekiego zachodu. W Leavenworth zaczęły się dwa główne szlaki pionierskie: „Drogi Obłazymów” — Santa Fe i Oregon Trail, nazwy do dziś dnia mające swą szczególną wymowę na zachodzie Stanów Zjednoczonych.

W Leavenworth powstała w roku 1888 pierwsza amerykańska szkoła sztabu, założona przez słynnego generała Shermana z wojny secesyjnej. Przez długi okres była to jednak rzecz bardzo mała, a sam fort stał się na przełomie wieków bardziej znany jako ośrodek kawalerski. Formowały się tam szeregi pułków konnych, głośnych w dwóch amerykańskich kampaniach jazdy: pierwszej kampanii na Filipinach i wojnie meksykańskiej.

Dziś koszarzy kawalerskie znów zmieniły się do niepoznaną. Oddziały i stajnie przebudowano na olbrzymie sale wykładowe, mieszczące do 1000 osób, zaopatrzone we wszystkie nowoczesne urządzenia, głośniki, aparaty chłodzące itp. Jedynym sentymentalnym zabytkiem dawnych czasów jest staruszek Murzyn wachmistrz weteran pierwszej kampanii filipińskiej, który jeżdżąc na jedynym koniu pozostałym jeszcze w forcie, przewodniczy gromadce kucyków szetlandzkich obowiązuje dzieci oficerów wykładowców.

Za to stał się fort miejscem, w którym — według słów generała Marshalla — bierze swój początek nowoczesna armia amerykańska. Tu bowiem mieści się jedyny w swoim rodzaju na świecie uniwersytet wojskowy; tu szkołą się całe pułki oficerów do pracy w sztabach nowo tworzonych wielkich jednostek, tu powstaje amerykańska doktryna wojenna — zasady taktyki, organizacji i wyposażenia nowej armii U. S. A.

Obydwa te zagadnienia — szkolenie oficerów sztabu i opracowanie zasad taktyki i organizacji, miały w Ameryce znacznie większą wagę niż w innych armiach walczących. W chwili bowiem rozpoczęcia prawdziwej rozbojownicy szbrojnych tj. w r. 1940, Stany Zjedn. znalazły się w sytuacji, w której brak oficerskiego personelu sztabowego był czolowym zagadnieniem planowania. W marynarce i lotnictwie — pomimo skomplikowanych problemów technicznych — wiadomo było z góry, że z jednej strony produkcja, z drugiej przeciętny wysoki poziom wykształcenia technicznego rekruta amerykańskiego, szybko wysuną w Ameryce to dwa rodzaje broni na pierwsze miejsce w obozie alianckim. Rozbudowa armii lądowej przedstawia się jednak zupełnie inaczej. Na nie nie zda się najlepsze wyposażenie i najlepsze wykształcenie żołnierza i młodszych oficerów, jeśli armia nie będzie miała sztabów, bez których żadna wielka jednostka nie jest zdolna do życia, a tym mniej do ruchu i do walki. Pod tym względem nie mieli Amerykanie żadnych tradycji, a sztaby stałej armii pokojowej były kropką w morzu w porównaniu z potrzebami nowej wielkiej armii narodowej. Amerykanie od początku zrozumieli, że — jak słusznie powiedział jeszcze w roku 1940 jeden z młodszych polskich pisarzy wojskowych — nie innego, jak tylko sztaby były i są prawdziwą niemocą „secret weapon”.

Armia amerykańska powstając pod koniec drugiego roku wojny miała możliwość od początku organizować się i szkolić na zasadach taktycznych i organizacyjnych opartyh na dwuletnich doświadczeniach wojny. Nie było jednak łatwym i prostym zadaniem opracować i wpoić w umysły kilkuset tysięcznej rzeszy nowych dowódców jednolitą nową doktrynę. Doktryna ta ponadto nie mogła być tylko syntezą

doświadczeń europejskich. Musiała opierać się na przewidywaniach dalszego rozwoju broni zaczepnych i obronnych, na to, żeby była prawdziwie skuteczna, musiała uwzględnić specyficzne cechy narodu żołnierza amerykańskiego.

Szukając najlepszych rozwiązań amerykańskie naczelne dowództwo zdecydowało, iż nie tylko szkolenie, ale i planowanie i studia badawcze muszą być w rękach ludzi wolnych od obowiązków pracy wykonawczej i że znacznie lepsze rezultaty osiągnie się powierzając te prace gronu teoretyków, pracujących w spokoju i oddaleni, w wojskowym uniwersytecie Command and General Staff School.

Przed wojną szkolenie sztabowe w Ameryce opierało się na programie podobnym do wzorów europejskich. Dwuletni pobyt w malowniczym forcie, zaopatrzonym w luksusowe urządzenia mieszkaniowe, sportowe i klubowe, zaliczany był przez słuchaczy do najprzyjemniejszych okresów służby wojskowej. Od roku 1941 szkoła straciła jednak dobrą reputację i szybko zyskała sobie sławę „the fastest school in America” (najszybszej szkoły w Ameryce). Sztab amerykański, w obliczu olbrzymich potrzeb nowej armii, nie miał innego wyjścia jak rewolucyjne skrócenie kursu do trzech miesięcy. Na metody normalnego przebiegu nie było czasu. Musiano zastosować metody inkubatora. — Po pierwszym roku pracy na takich zasadach okazało się, iż eksperymenci testy udane, szkoła prowadziła przeto nadal dalszy cykl morderczych trzymiesięcznych kursów.

Kierownictwo uniwersytetu wojskowego wychodzi z założenia, iż dotychczasowe metody nauczania, stosowane co to w wojsku, czy też na wyższych uczelniach, nie doceniały chłonności dojrzałego umysłu ludzkiego. Szkoła w Leavenworth uważa, iż czas potrzebny do przekazania jakiegokolwiek wiedzy praktycznej gronu przeciętnie zdolnych słuchaczy może być sprowadzony do pewnego minimum pod warunkiem, że zastosować będą metody i pomoce naukowe najbardziej oddziałujące na wyobraźnię uczniów i że ci ostatni dadzą z siebie pełną współpracę, wysiłek i dobrą wolę.

Dziś się oczywiście w Leavenworth do wyczerpania każdego materiału pamięciowego, który można zastąpić tabulą czy podrecznikiem. Uczy się przede wszystkim doktryny i sposobu myślenia, wyma-

ganych od oficera sztabu w warunkach bojowych. Pod tym względem osiąga się wiele przy pomocy praktycznego demonstrowania, przy którym wykładowcy zamieniają się niemal w aktorów, odzwierciedlających realizację pracy sztabów wielkich jednostek w polu. Program kursu, trwającego niecałe trzy miesiące, przewiduje ogółem 700 godzin wykładowych, to jest więcej niż sześciomiesięczny kurs brytyjski. Nie więc dziwnego, iż program szkolny wymaga od słuchaczy wielkiego napięcia uwagi i wysiłku. Wymaga również ścisłego planowania tego wysiłku. Niemal jak impresario championa bokserkiego przed rozgrywkami o mistrzostwo świata, szkoła czuwa nad trybem życia słuchaczy regulując ściśle ilość snu, sposób odżywiania i niezbędną godzinę codziennych ćwiczeń fizycznych. W swym dążeniu do dostarczenia armii Stanów Zjednoczonych w jak najszybszym czasie możliwie największej liczby tych „urzędników” biur wojskowych pierwszej linii, jakim są oficerowie sztabów wielkich jednostek, szkoła napotyka istotnie na pełną zrozumienia sprawy solidność i obowiązkowość słuchaczy. Jest to tym bardziej znaczące, iż znakomitą większość słuchaczy stanowią oficerowie niezawodowi. Oficerów zawodowych rzadko jest więcej niż dziesięć procent w każdym z kolejnych pułków młodych oficerów, przechodzących co trzy miesiące przez kurs w Leavenworth. Podkreśla poza tym należy, iż ukończenie szkoły nie daje tytułów do awansów, ani wygodnych przydziałów. I prawie dla wszystkich słuchaczy, z których bardzo niewielu służy w wojsku dłużej niż dwa lub trzy lata i których przyszłość leży nie w armii lecz w życiu cywilnym — dyplom szkoły w Leavenworth jest równoznaczny z dokumentem zaostrzającym. Ta anglosaska solidność w wykonywaniu „job'u”, w służbie liniowej czy w nauce, daje armii amerykańskiej wielki atut.

Narodziny i nauka doktryny wojennej

Szkoła daje słuchaczom dwa główne elementy potrzebne im w przyszłej pracy: uczy ich podstaw pracy sztabowej — „staff procedure” w terminologii amerykańskiej — i nastawia ich umysły na umiejętność myślenia taktycznego po liniach doktryny, wypracowywanej i stale korygowanej przez wojskowy „trust młodych”. Wskazania w

tym ostatnim zakresie idą do Naczelnego Dowództwa w Waszyngtonie i do wszystkich innych dowództw terytorialnych, kierujących formowaniem i szkoleniem nowych jednostek, zaopatrzeniem, produkcją wojenną itp. Ale głównym instrumentem są uczniowie szkoły, którzy rozchodzą się po całej armii, niosą z sobą produkt myśli i syntezę wojskowej w Leavenworth. W ten sposób wojskowy uniwersytet amerykański daje przykład, jak każda organizacja, nawet największa, może być zaplanowana i wyprodukowana dla jej funkcjonowania dla dobra państwa. Schemat funkcjonalny, na jakim praca ta opiera się w wojsku amerykańskim, ujawnia jasno drogę myślową amerykańskiego planowania: wybrane materiały grono wyższych oficerów układa ogólny plan potrzeb i organizacji. Dopiero stopniowo, jednocześnie szkoląc fachowców cywilnych i wojskowych, kładąc nacisk na specjalizację, ustala źródła informacji; gdy ta wspólna faza jest zakończona, powołuje uczniów, od których żąda raczej gotowości szczerego wysiłku niż nadzwyczajnych zdolności. Odcina ich staranną opieką, daje możliwość najlepszej pomocy szkolnej, żąda w zamian maksimum wysiłku.

Praca badawcza opiera się na dwóch głównych kanałach dopływu materiału informacyjnego — sprawozdania dowódców walczących armii i bezpośrednie doświadczenia oficerów z kadry szkoły, wysyłanych na wszystkie fronty. Teoretycy zazwyczaj patrzyli innym okiem na przebieg działań i wnioski wyciągane przez tych obserwatorów mają szczególną wartość. Z analiz dotychczasowych doświadczeń, stale uzupełnianych najbardziej aktualnymi obserwacjami z frontów, rodzi się doktryna nowoczesnej armii amerykańskiej.

Cały ten wysiłek intelektualny wojska jest również imponujący jak osiągnięcia amerykańskiej na polu produkcji wojennej. Historia udziału wojsk amerykańskich w obecnej wojnie poświadczają zapewne wiele miejsc tam gronu ludzi, które dało swej armii zarówno wskazania nowoczesnej walki, jak i potrafiło w rekordowo krótkim czasie nadrobić ogromne zaniechania polityków dając armii niezbędny system wykonawczy — oficerów sztabów.

Atmosfera szkoły w Leavenworth i typ oficera z niej wychodzącego mają jednak inne cechy, niż „kimat sztabowy” większości armii europejskich. Na ogół w Europie oficerowie sztabu zajmują w swych armiach stanowisko uprzewleciowane, a szkoła sztabu uznawana jest automatycznie za drogę do kariery i wyróżnienia. Armia amerykańska tych cech nie posiada. Wykształcenie sztabowe jest oczywiście kwalifikacją wysoko cenioną, ale sztab amerykański nie wytworzył nic zbliżonego do konfraterni sztabowej na wzór niemieckiej czy francuskiej. Dowództwo amerykańskie nie dąży do uniwersalizmu sztabowego, lecz przeciwnie polega głównie na „specjalizacji”. Dowództwo to wychodzi bowiem z założenia, iż obecna wojna wymaga wielkiej liczby fachowców, mogących wykonywać pracę w warunkach bojowych szybko i sprawnie, przede wszystkim w powrotnym im zakresie. Dyktuje to skomplikowaną i z konieczności ciężką organizację nowoczesnych wielkich jednostek i użycie na wielką skalę zdobyczy technicznych. W zakresie tak pojętych potrzeb nowoczesnej organizacji pracy sztabowej, szkoła amerykańska w Leavenworth na pewno spełni swoje zadanie.

S. D.

LISTY Z LONDYNU

(Dokończenie ze str. 3)

Do dnia 9. XI. 1944 r. pracownicy Komitetu uchwalili 21 ustaw i dekrety. Nie trzeba wyciągać stąd wniosku, że ludzie z Komitetu są mądrzy i że ich wielkimi inwencjami i zdolnościami twórczymi. Większość tych dekrety, to niemal dosłowne odpisy „reform” wydobytých z archiwum działalności moskiewskiej na terenach bałtyckich, bałkańskich, węgierskich i innych.

Ważnymi i obowiązującymi na przyszłość z punktu widzenia sowieckiej oceny sytuacji stanu będą jedynie „dekrety uznające niepodległość Ukrainy i Białorusi” — osiągnięcia „na które nie mogą sobie pozwolić rządy sanacyjne”, a które w istocie są odstawieniem na rzecz Rosji „w imieniu narodu polskiego” połowy ziem Rzeczypospolitej. Wszystkie inne dekrety zmierzają sama władza sowiecka, gdy tylko koniunktura pozwoli na wysunięcie kolejnego etapu przeobrażeń w Polsce — właściwej sowiecizacji, czyli mówiąc językiem sowieckim realizacji „dyktatury proletariatu”.

I ma rację p. Osóbka — Morawski, gdy w swym przemówieniu twierdzi, że Komitet lubelski „nie zamierza utworzyć z Polski 17. republiki sowieckiej, ani wprowadzić koczowozów”. Istotnie, nie jest to zadanie Komitetu. Będzie to zadanie tego, już prawdziwie sowieckiego rządu, który zostanie triumfalnie wprowadzony na miejsce Komitetu, gdy wszystkie jego poczynania okażą się absurdalnymi, lub gdy spotkają się z żywiołą reakcją ludności polskiej. A że z przytępszonymi zębami zara się również i legalne elementy państwowe polskie, skompromitowane przyszłością polską, tym lepiej dla przyszłego rządu „dyktatury proletariatu”.

Więc też komunistów nie odręgują zasadniczej roli w obecnym stadium organizacji „nowej Polski”. Nawet oficjalnie — „na komunistyczną partię polską nie istnieje. Jej namiastka, Polska Partia Robotnicza, jest tak ustawiona, że Moskwa i Łódź zawsze miała możliwość być podległa jej

do godności komunistycznej, bądź potępienia jako oportunistycznej, drobnoburżazymnej i reakcyjnej. Polscy komuniści z prawdziwego zdarzenia, jak np. Henrykowski, trzymają się na razie na uboczu i zajmują się organizacją kadr partyjnych. Zadaniem ich będzie wypowiadanie pouczeń i najostrejszych krytyki poczynąh tej przysmuszono narzuconej kieroszczynny. Wystąpią po władzę wtedy, gdy koniunktura wewnętrzna na to pozwoli, a zewnętrzna nie będzie potrzebowała liczyć się z zarzutem, że Sowiety postępują na zachód z hasłami komunistycznymi.

Revolucja, a raczej sowiecizacja nie będą narzucone. Broń Boże, pragnie jej żywiłowo sam naród polski, którego gniew zmiecie zarówno „oportunistów” z obecnego Komitetu, jak i wszystkich tych, którzy z Komitetem zwiążą swoje losy. Ziemia sowiecka jest obszerna i miejsce do karania kontrowolucyjnej reakcji nie zabraknie.

Obok dekretych już dziś przysługujące się innym materiał, również prowokujący „gniew ludu”. Zapowiedzianą jest proces pokazowy byłego rządu polskiego w osobach wywiezionych do Lublina z Rumunii b. ministrów Kwiatkowskiego, Urych, Romana, Kasprzyckiego, Schaezla i innych. Nie trudno sobie wyobrazić, jakiego typu materiały przyniosą te procesy i o czego będą one służyć.

Tak a nie inaczej należy ocenić ten „lubelski” okres rekonstrukcji Polski pod znakiem Sowietów. I tym tylko można sobie tłumaczyć tę energiczną akcję, z jaką prowadzona jest kampania przysmuszająca rząd polski do pójścia na ugodę z Komitetem. Ugodą taka nie tylko bowiem wyrwie z rąk Europejski element pierwszorzędnej politycznej wagi — legalną reprezentację Polski i narodu polskiego, lecz również pozwoli na zgranie za jednym zamachem wraz z ustanowioną w Moskwie polską kieroszczyną, również i tego wszystkiego, co jest związane z przyszłością i teraźniejszością narodu polskiego, jego życia politycznego, jego suwerenności, jego walki i jego praw.

Bohdan Andrycz

Odpowiedzi redakcji

Ppor. L. T. „Pierwsza miłość młodości” ma często słodność do tak wulgowych wypowiedzi, ale czytelnik miałby pretensję do redakcji, która już się nie może powołać na „pierwszą miłość młodości”.

Kpr. A. P-ski. Zaszło nieporozumienie: notatkę angielskiej agencji o tym, jak uwołnieni we Francji jeńcy-Rosjanie woleli zostać na zachodzie, niż „traficie czas” na powrót do ojczyzny, nazwał „wesołą” bynajmniej nie dlatego, byśnny nie współczuli tym ludziom, o których słuźnie Pan pisze, że „wiedzą, że ani swych zagród ani osób nie zobaczą. Wiedzą i pamiętają, jaki los spotkał tych, którzy powrócili z niewoli fińskiej; niektórzy zostali rozstrzelani, inni wysłani tam, skąd nie ma powrotu...”. Nie z tych biedaków się śmiejemy, ale z tego, że depesza przeznaczona dla reklamy bojowego zapalu żołnierzy czarnej armii w istocie zdemaskowała właśnie to, co Pan pisze.

Zagroda. Przesłany stosownie do Pana wskazówki.

PRZEGŁĄD PRASY

Wędka.. z haczykiem

W październikowym zeszycie amerykańskiego magazynu „Readers Digest” ukazał się wywiad prezesa amerykańskiej izby handlowej Eryka Johnstona ze Stalinem. Rozmowa trwała trzy godziny i obracała się wokół zagadnienia przyszłego handlu rosyjsko-amerykańskiego. Jak wiadomo obecnie Ameryka żywi i zaopatruje armię czerwoną na kredyt. Są to, co prawda, także inwestycje i być może — przy niewielkiej skrupulatności Sowietów w wywiązywaniu się ze zobowiązań finansowych — będą to inwestycje nie tylko polityczne (te są raczej wątpliwe), ale także gospodarcze. Lecz wszystko to jest niczym wobec możliwości, jakie przed kapitałem amerykańskim otworzą się po wojnie.

Stalin oświadczył: „Sowiecka produkcja surowców na eksport do Stanów Zjednoczonych zastępuje się do potrzeb Stanów Zjednoczonych. Możemy wytworzyć każdą ilość, jakiej będziecie sobie życzyli, jeżeli tylko będziemy mogli otrzymać maszynę. Dlatego właśnie jesteśmy zainteresowani w kredytach długoterminowych. Potrafimy ostatecznie obejść się bez nich, ale to potrwa dłużej. Lubię transakcje z amerykańskimi przedsiębiorstwami. Wy, towarzysze (fellows) wiecie, czego chcicie. Waszemu słowu można ufać, a co najważniejsze, wy nie zmieniacie się na swoich stanowiskach, tak jak i my tu się nie zmieniamy. A polityk raz jest, to znowu go nie ma i trzeba zaczynać portretywać z nowymi ludźmi”.

Jakżi wspaniali kupiecki język — musiał sobie pomyśleć p. Johnston — jakżeś daleki od urzędniczego tonu amerykańskich administratorów i dyplomatów. I jakże — nie ukrywana — pogarda dla „polityków” — i to wobec kraju, w którym ten sam zespół rządzący już od dwunastu lat! P. Johnston może nie przypominał sobie wcale, że to właśnie polityk musiał długo i wytrwale przekonywać amerykańskich businessmenów, że długoterminowe kredyty za „lease and lend” dla Sowietów... opłaci się.

Stalin przekonywał Johnstona, że rosyjski program industrializacyjny nigdy się nie skończy, bo Rosja „jest tak ogromna, jej potrzeby tak wielkie, a jej rozwój tak słaby, że trudno przewidzieć czas, kiedy będziemy czegoś mieli dość”. Odbudowa powojenna Rosji będzie skomplikowana przez to, że „pracujące obecnie fabryki będą musiały być zmodyfikowane, ponieważ wiele z tego, co zrobiono poprzednio, było zrobione kiepsko (poorly)”. Serce Amerykanina musiało rość na widok takich perspektyw. Praktycznie przeciw wszystko jeszcze jest do zrobienia w Rosji — rynek zbytu wydaje się nieograniczony i nieskończony.

Czegoż jednak Rosja może dostarczyć Ameryce w zamian za maszyny? Stany Zjednoczone są przecież nieomal samowystarczalnie: zboża im nie trzeba, owoców też nie, spirytusu tym mniej. Przysłałyby się może siły robocze — bo poza Rosją czekają także niezmiernie rynki zbytu, jak Chiny i Indie. Ale o tym nie było mowy podczas wywiadu. Stalin wymienił natomiast mangan, chrom, platynę, miedź, naftę, tungsten, drzewo, celulozę i futra. Też wspaniałe! Ameryce istotnie potrzeba, ale to nie pokryje całego eksportu do Rosji. Dlatego też Stalin wymieniał wreszcie złoto... „spożrzał” (na Johnstona) kpięco (quizzically) i zekł: „Wiele krajów kapitalistycznych pragnie złota”. Lecz Johnston nie był zbyt pewny, czy jego kraj będzie chciał jeszcze więcej złota tylko po to, by je magazynować w Fort Knox?.

W ten sposób pojawił się w rozmowie na Kremlu element zastanawiający, problematyczny, melancholijny i dopomógł Johnstona przeczyć: inne, jeszcze bardziej zastanawiające momenty przyszłego handlu sowiecko-amerykańskiego. Momenty te ukrywały się w fakcie, że po stronie amerykańskiej partnerami rządu sowieckiego będą indywidualni przedsiębiorcy, a — po stronie sowieckiej partnerami przemysłowców amerykańskich będą ludzie, którzy — nie zmieniając się na swoich stanowiskach — Ale p. Johnston nie jest politykiem, tylko kupcem — trudno się więc dziwić, że melancholijny problem Fortu Knox zastąpił mu problem... ewentualnego bezrobocia amerykańskiego, gdy Sowiety w pewnej chwili zechcą przerywać z dostaw nastawionej na sowiecki rynek zbytu przemysłu amerykańskiego.

Przyszłość Europy

W tygodniku „Cosmopolita” ukazał się 7 października artykuł pt. „Fare l'Europa”. Po upadku „fortecy europejskiej” nie będzie na kontynencie więcej wielkich mocarstw, które mogłyby się mierzyć z innymi wielkimi potęgami świata. Jest to fakt polityczny, z którym trzeba się pogodzić. Europie grozi podział między wielkie potęgi poza-europejskie, co może doprowadzić do tego, że w pewnej chwili Europa znowu stanie się teatrem wojny. Tym konieczniejsze jest hodowanie ducha jedności europejskiej, staranne eliminowanie wszystkiego, co narody Europy dzieli i czyni je powolnymi narzędziami w obcym ręku, a pogłębianie wszystkiego, co je łączy i co może stworzyć Europie przyszłość godną jej wielkiej przeszłości.

Zródłem nadziei jest fakt istnienia Europy podziemnej, która tak silnie zaznaczyła się w czasie pierwszego wielkiego natarcia na hitlerowską „fortecę europejską”. Armie podziemne są niezbitym dowodem, że Europa pragnie żyć własnym życiem, skoro nie znośna nawału, by nią rządziło mocarstwo europejskie. Ale, po klęsce Hitlera, naród niemiecki nie zniknie z powierzchni ziemi i pozostanie narodem eu-

rowym tego czynnika, który został wyjątkowy, a pierwsza nie znajdzie poparcia samych Europejczyków. Czy nie ma więc wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazła się Europa?

Jest takie wyjście. Nie musi nim być wcale układ między narodami europejskimi, który z góry przesądzi całą strukturę polityczną Europy. Mogą i muszą to być porozumienia regionalne, które — zaczynając od małego — zwolna dojdą do ogarnięcia całości. Pierwszą inicjatywą powinna być od Francji, która jedna w obecnej chwili może z powodzeniem bronić rozwiązania europejskiego spraw kontynentalnych. Następnie trzeba będzie — po sprawiedliwym ukaraniu Niemiec — znaleźć rozwiązanie problemu niemieckiego. Podanie przemysłu niemieckiego kontroli międzynarodowej oznaczałoby powtórzenie — w gorszym wydaniu — błędów Traktatu Wersalskiego. Przemysł ten powinien znaleźć się pod kontrolą federalnego rządu europejskiego. Wreszcie, Europa powinna przystąpić do właściwej eksploatacji kolonii afrykańskich.

Lecz gdzie są siły polityczne, które mogłyby podjąć się tego ogromnego zadania? „Kto może wreszcie stworzyć Europę?”

Nowy partner Stalina—Himmler

W Moskwie istnieje niemiecka ekipa po-

żadnych rozkazów Hitlera, których sam uprzednio nie zaaprobował, Goebbels otrzymał cząstkę uprawnień w zakresie kontroli nad Hitlerem. Może go to oczywiście nie uchroni od stryczki, gdy Hitler zasnie na Orlim Gnieździe, by hodować brodę Barbarossy, wrastającą w marmur.

Himmler jest zdecydowany nie dopuścić Piecka do mety. Jako ostrzeżenie zaaranżował śmierć Thaelmanna, dawnego szefa Piecka — „od angielskiej bomby”. Himmler potrafi sobie dać radę bez Piecka. Nie potrzebuje importowanego bolszewizmu, ma swój własny. Londyński „Times” zamieścił w końcu lipca notatkę pt. „Himmler szykuje bolszewicki zamach stanu”, w której czytamy o znalezionej w Norwegii ulotce zawierającej właśnie ten zarzut pod adresem Himmlera. „Waffen - SS” zaopatrza się w amunicję zabierając ją armii regularnej — oświadcza niemieckim żołnierzom w Norwegii anonimowy informator. „Himmler przygotowuje się do wielkiej zdrady — grmi patetycznie poczyty ostrzeżacz — gdy przyjdzie czas, sprzeda nas hurtem Sowietom”. B. brytyjski minister wojny, Hoare Belisha pisze w „News of the World”: „Generałowie niemieccy zbuntowali się, ponieważ zrozumieli, że w dążeniu do urzeczywistnienia ich ambicji Hitler stał się dla nich jedynie obciążeniem”. Himmler rozumie to jeszcze lepiej. Himmler - Bismarck!

„Uncle Joe” ma do wyboru: Pieck albo Himmler. Może boi się Himmlera, ale zrozanieżowana armia wchodzi nie puszcza bolszewików na terytorium Niemiec. A w Moskwie śmieją się w nos korespondentom anglosaskim, gdy ci cytują nadawane przez radio sowieckie apele „Narodowego Komitetu Wyzwolenia Niemiec”. Śmieją się i zachęcają do bagatelizowania... sowieckich audycji. „Stalin pragnie zniszczyć Niemcy i zetrzeć na proch niemiecki militarizm” — powiadał zakłopotany dziennikarzom z dalekich demokratycznych krajów. Pieck jednak może istotnie nie jest... kandydatem, może jest tylko... zaproszeniem do tańca? Himmler dobrze to rozumie. Ale Himmler nie ma poczucia humoru. Z nim trzeba gadać serio. Droga do Bismarcka prowadzi przez Himmlera, nie przez Piecka. Czy Stalin to rozumie? Demokratyzm korespondenci niedowierzająco kiwają głowami i zamykają się na klucz w swoich hotelowych pokojach — ze strachu przed NKWD i z metafizycznego lęku przed nieograniczonymi możliwościami... sowieckiej myśli politycznej.

Potrzeba ludzi dumnych

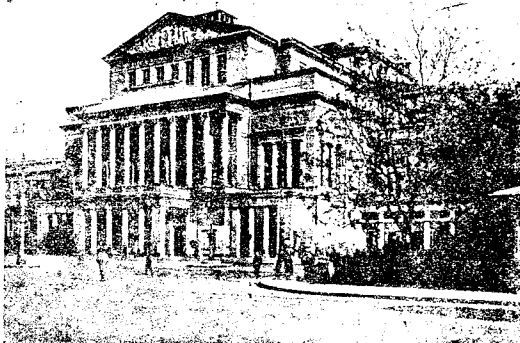
Wyzwalają nas na wszystkich końcach Europy i na wszystkich sposobach — z naszym udziałem i bez niego, z nami i przeciw nam. Nas — narody europejskie. Na gwałt robą z nas „ludzi wolnych”. Chodzący po ruinach wojny i radości. Trzaska się o to, żeby nie wyrzucił wśród nas „nowa tyrania” — jedni robią to metodą sokratyczną, przez przekonywanie — inni na wszelki wypadek dają nam gotową tyranię, żeby nie mieć z nami kłopotu. Dwie metody profilaktyczne. Czy pacjent wytrzyma?

„Wolności nie można nauczać, nie można jej także rozdzielać, jest ona wewnętrzna potęgą, potęgą ducha — a wolnym narodem jest naród, który może wykazać się pewną ilością ludzi dumnych; jeżeli bowiem ludzi takich jest za mało — co komu z tego przyjdzie, że przez swoich adwokatów naród zostanie ogłoszony „wolnym”? Sa to słowa francuskiego katolika, wielkiego pisarza i moralisty (ale także psychologa! — uważa dla moralistów rodzinnych) — Jerzego Bernanos. Czytamy je w zeszycie „La France Libre”.

Potrzeba nam ludzi dumnych, jeżeli mamy być narodem rzeczywistie wolnym. Żeby jednak móc być dumnym, trzeba mieć coś, z czego można być dumnym. Taki ktoś z naszego życia jest towarzystwo. W którym się znajdujemy. Coraz więcej jest w s t d u w świecie, coraz mniej dumy. Rumiećce spotykamy na twarzach coraz to nowych przyjaciół. A nam duma każe zaslania? czy...
(s. z.)

Nowe wydawnictwo

— W sprzedaży znajduje się mapa instytucyj i pamittek polskich w Rzymie, wydana nakładem Oddziału Propagandy i Kultury. Cena 10 lirów.



Teatr Wielki w Warszawie, przed zbombardowaniem go przez Niemców

ropejskim. Tu tkwi jedno ze źródeł przyszłej niezgody i rozdiwku. Nienawie, p. „Narodowego Komitetu Wyzwolenia Niemiec” wyłoni się rząd niemiecki, który Rosja będzie mogła uznać za swego partnera i zapewne... zawrzeć z nim zawieszenie broni. Na czele tej ekipy stoi dwóch ludzi: niemiecki Bierut, stary komunista i kominternowiec Wilhelm Pieck oraz stary Junkier, b. generał Hitlera, von Seydlitz. Ta konstelacja Junkiersko-komunistyczna nie jest wcale tak absurdalna, jakby się zdawało. W samych Niemczech istnieje bowiem — od dwadziestu lat! — organizacja, która stworzyła bardzo podobny układ ideowy: jest nią himmlerowska SS. Junkier i komunizm wspólny jest czynim — pierwszy warunek skutecznego działania politycznego. U Junkrów jest on tradycyjny i pachnie mentalnością frydrycką i wykazują się w ciągu dwóch stuleci w dobrej szkole puskiego sztabu generalnego i niemieckiej świetnej szkole pruskiej dyplomacji. Czynim komunizm też nie jest najgorszego gatunku: wyrósł on na tustej głębie długolecnej walki klas, nieustannych tar — ramię o ramię, łokieć o łokieć, ząb o ząb — z niemieckim kapitałem przemysłowym, inną ostoją realizmu i zimnej kalkulacji.

Tak więc Pieck i Himmler stali się obecnie konkurentami. Mówią, że Himmler wiedział o planie zamachu na Hitlera w lipcu br. Znal także umowę zawartą między spiskowcami a jakimiś czynnikami sowieckimi. Nie spisku prowadzący — jak to podano zostało do wiadomości publicznej — do Moskwy. Pieck i Seydlitz oskarżyli Hitlera, że zawiódł Niemcy na bezdroża polityki... anty-rosyjskiej. Bismarck był mądrzejszy i do Bismarcka trzeba wrócić — woła szesnastu światło wziętych do niemieckich generałów Wehrmachtu. Himmler dobrze to rozumie. Nawet w Londynie znalazł się publicysta („Veritas”), który podejrzewa w Himmlerze naturalnego partnera Stalina. „Himmler — powiada — jest jedynym człowiekiem w Niemczech, który mógłby się porozumieć z Sowietami”. Goebbels — mądrość zwinny oportunista — zwałchł tę koniunkturę i kiedy Himmler zdecydował się nie dopuścić do wykonania

ropejskim. Tu tkwi jedno ze źródeł przyszłej niezgody i rozdiwku. Nienawie, p. „Narodowego Komitetu Wyzwolenia Niemiec” wyłoni się rząd niemiecki, który Rosja będzie mogła uznać za swego partnera i zapewne... zawrzeć z nim zawieszenie broni. Na czele tej ekipy stoi dwóch ludzi: niemiecki Bierut, stary komunista i kominternowiec Wilhelm Pieck oraz stary Junkier, b. generał Hitlera, von Seydlitz. Ta konstelacja Junkiersko-komunistyczna nie jest wcale tak absurdalna, jakby się zdawało. W samych Niemczech istnieje bowiem — od dwadziestu lat! — organizacja, która stworzyła bardzo podobny układ ideowy: jest nią himmlerowska SS. Junkier i komunizm wspólny jest czynim — pierwszy warunek skutecznego działania politycznego. U Junkrów jest on tradycyjny i pachnie mentalnością frydrycką i wykazują się w ciągu dwóch stuleci w dobrej szkole puskiego sztabu generalnego i niemieckiej świetnej szkole pruskiej dyplomacji. Czynim komunizm też nie jest najgorszego gatunku: wyrósł on na tustej głębie długolecnej walki klas, nieustannych tar — ramię o ramię, łokieć o łokieć, ząb o ząb — z niemieckim kapitałem przemysłowym, inną ostoją realizmu i zimnej kalkulacji.

Tak więc Pieck i Himmler stali się obecnie konkurentami. Mówią, że Himmler wiedział o planie zamachu na Hitlera w lipcu br. Znal także umowę zawartą między spiskowcami a jakimiś czynnikami sowieckimi. Nie spisku prowadzący — jak to podano zostało do wiadomości publicznej — do Moskwy. Pieck i Seydlitz oskarżyli Hitlera, że zawiódł Niemcy na bezdroża polityki... anty-rosyjskiej. Bismarck był mądrzejszy i do Bismarcka trzeba wrócić — woła szesnastu światło wziętych do niemieckich generałów Wehrmachtu. Himmler dobrze to rozumie. Nawet w Londynie znalazł się publicysta („Veritas”), który podejrzewa w Himmlerze naturalnego partnera Stalina. „Himmler — powiada — jest jedynym człowiekiem w Niemczech, który mógłby się porozumieć z Sowietami”. Goebbels — mądrość zwinny oportunista — zwałchł tę koniunkturę i kiedy Himmler zdecydował się nie dopuścić do wykonania